

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	
w Wilnie	
Rocznie	6.
Półrocznie	3.
Kwartalnie	1.50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 r b
Po tekście	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

HOTEL St. GEORGES w WILNIE

WSZELKIE WYGODY.
NUMERY OD 1 RUBLA.

Sala dla uczt weselnych i balów. ☞ Restauracja najlepsza w mieście. ☞ W czasie obiadów i kolacji grywa kwartet.

Na własną rękę.

W życiu społeczeństwa naszego wciąż się powtarzają fakty, wobec których opinia publiczna, najbardziej nawet umiarkowana, przeciętna zajmuje stanowisko wyraźnie nieprzychylnie. Ci jednak, którym zawdzięczamy owe niepożądane objawy, z opinią publiczną nie chcą się wcale rachować, uważając siebie za wyjętych z pod kontroli ogółu, tem samem wyeliminowując siebie ze społeczeństwa, chociaż jednocześnie bynajmniej nie zrywają z niem więzów, bynajmniej nie rezygnują z zasady solidarności, której w innych wypadkach są gorącymi nawet zwolennikami.

Jest to pozycja bezwątpienia nader wygodna. Gdy chodzi o zdławienie opozycji, będącej w mniejszości—operuje się wówczas dogmatem bezwzględnej solidarności narodowej, wyzyskuje się zasadę podporządkowania mniejszości interesom większości. Taktyki tej np. trzymają się stale grupy konserwatywne w stosunku do postępowców, gdy chodzi o wspólną akcję polityczną. Natomiast w rzadkich wypadkach, gdy wystąpienia czy stanowisko, zajęte przez konserwatystów, nie znajdują aprobaty ogółu — obowiązująca zasada idzie w ką, a ci, co najgłośniej dotąd krzyczeli o solidarności, o szkodliwym dla interesów narodowych separatyzmie lewicy, nagle się przedziegają w zaciętych obrońców swobody indywidualnej, traktując z lekceważeniem tłum, stojący na przeszkodzie ich samodzielnej polityce.

Niekonsekwencja ta rażąca szczególnie często jest popełniana na naszym gruncie. Wynika to stąd, że społeczeństwo polskie na Litwie i Białejrusi, prócz normalnego podziału na grupy o pewnym mniej lub więcej wyraźnym zabarwieniu politycznym, zachowało nadto niektóre formy, mające dziś charakter przeżytków, rażące swym anachronizmem, ale siłą tradycji odegrywające wcale wybitną rolę w życiu polityczno-społecznym.

Do czynników tej kategorii, wypaczających normalny nasz rozwój, zaliczyć należy w pierwszym rze-

dzie antagonizm pomiędzy wsią a miastem. Gdzieindziej różnice te zafarły się nawet w życiu towarzyskim, u nas są one wyraźne nawet w zakresie życia politycznego.

Ziemiaństwo polskie na Litwie i Białejrusi, dzięki temu, że stanowi najsilniejszy liczebnie i materialnie żywioł, narodowo uświadomiony oraz dzięki pewnym przywilejom stanowym, zachowanym jeszcze w państwie Rosyjskiem, chętnie i skwapliwie pretenduje do roli przodującej w społeczeństwie, podkreślając jednocześnie na każdym kroku swą odrębność kastową. My — szlachta, ziemianie — daje się wciąż słyszeć nawet w prasie.

Posiadanie kawałka gruntu poza obrębem miasta nadaje właścicielowi jego piętno jakiejś wyższości nad przeciętnym obywatelem, płacącym jedynie podatek mieszkaniowy. Mylnem byłoby przypuszczenie, że szacunkiem wyjątkowym otoczone jest rolnictwo jako zawód. Bynajmniej. Znany wielu właścicieli ziemskich, mieszkających stale w mieście, spędzających większą część roku zagranicą lub nawet pracujących w rozmaitych biurach, bankach, lombardach etc., którzy z uprawą roli i hodowlą bydła nie mają nic wspólnego, folwarki zaś swe wypuszczają w dzierżawę. Mimo to, na podstawie swego cenzusu majątkowego, zaliczają się do szlachty ziemiańskiej i przy każdej sposobności zaznaczają swą kastową odrębność.

Próżność tego rodzaju byłaby tylko śmieszną, o ile by dawała się we znaki w stosunkach towarzyskich. Gorzej jednak, że jest szkodliwą, gdyż sięga do dziedziny publicznej, gdzie niema dla niej absolutnie miejsca.

Z zadziwiającą potulnością tolerowane są u nas rozmaite wybryki szlachecko-ziemiańskie, za które jednak odpowiedzialność moralną ponosi całe społeczeństwo, względnie naród. Ulegając zakorzenionym głęboko tradycjom, nakazującym bezwarunkowy lojalizm, nasza szlachta raz po raz zdobywa się na krok, w jej mniemaniu, nacechowany głęboką mądrością polityczną, w istocie zaś komiczny przez swą groteskowość a smutny przez ukrywający się na dnie serwilizm i niedwuznaczną prywatę.

Czyni to obecnie wprawdzie we własnym imieniu tylko... Uważa więc siebie za zwolnioną od obowiązku rachowania się z resztą społeczeństwa, które też *volens nolens* godzić się musi z tym stanem rzeczy, gdyż nie posiada możliwości reagowania w sposób odpowiedni.

Jedyny hamulec — opinia publiczna jest w naszym społeczeństwie tak niezorganizowana i chwiejna, że nikt z nią realnie liczyć się nie potrzebuje. Zresztą widoma wyobrazicielka tej opinii — prasa jest niemal bez wyjątku zależną od tych właśnie, przeciwko którym wypadło by jej występować. Rozpanoszony zaś na naszym gruncie oportunistyczny zabija i ten słabiuchny krytycyzm, który, wobec pewnych zbyt jaskrawych faktów, mimowoli się nasuwa.

I deprawacja szerzy się w sposób zastraszający. Pod przykrywką nietykalnych haseł: „ziemia, narodość i wiara“ dzieją się rzeczy niesłychane, przeciwko którym protestuje rozum i uczucie, które wywołać muszą odrazę w każdym zdrowym organizmie. A pewni swej bezkarności herbowni politycy dumnie obnoszą swe postacie, wiedząc, że fala oburzenia nie zmyje ich z areny publicznej i że nadal będą mogli piastować mandaty urodzonych reprezentantów społeczeństwa.

Najsmutniejsze zaś to, iż objawy dekadencji zamiast kurczyć się i redukować, zataczają coraz szersze kręgi. Gdy dawniej ulegali jej tylko magnaci i nieliczni przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej, wszędzie nie tylko u nas popisujący się oryginalnością swej taktyki — obecnie wpływ jej daje się zauważyć nawet w kołach ludzi, o całkiem miernych fortunach, wyznających, zdawało się, zasady bardziej zgodne z duchem czasu. Nie należy jednak temu się dziwić.

Czyż można wymagać orjentacji należytej od przeciętnego ziemianina, na ogół żywiącego doskonałą obojętnością względem zagadnień politycznych, gdy widzi przykłady demoralizujące oportunistów ze strony tych, których miał prawo zupełnie uważać za swych przewodników? Fuzja „Kurjera“ z „Gońcem“ musiała podziałać nań deprymująco, zatruwając ostаточно pierwiastki idejowe, które zaczęły w nim kiełkować pod wpływem zwalczających się dwóch kierunków przekonaniowych. Skoro cała ta niby zwyciężała walka okazała się humbugiem, gdy ujrzał pa-

dających sobie w objęcia dotychczasowych wrogów, kiedy się przekonał, że interes zwyciężyć może nawet niewzruszone zasady — utracił wszelkie kryterjum i wśród otaczającego go bałamuctwa począł szukać instyktownie drogi, po której posuwanie się nie grozi żadnym niebezpieczeństwem. Ideałom zaś wolał dać pokój.

Może to i lepiej zresztą. „Goniec“ przez tyle czasu bałamucił ogół hasłami demokratyczno-narodowymi, w których demokratyzm ukrywał się wstydliwie za szumnymi quasi-patriotycznymi frazesami o tradycjach szlacheckich, że wreszcie trudno było się połapać, kto u nas jest istotnie demokratą, a kto chadza w tem przebraniu, bawiąc się jak na maskaradzie. Dziś, gdy czamarę zawieszono na kołku, a z garderoby wydobyto tradycyjny kontusz, zostawiając jednak przezornie karabelę na dnie kufra, gdy znów rozległy się okrzyki „kochajmy się“, zdawało się, bezpowrotnie już przebrzmiało, — staje się widocznym, że cała robota endecka była tylko pustą frazeologią powierzchowną, która żadnego trwałego wpływu nie wywarła. Szlachcic-ziemianin pozostał wiernym sobie.

Nie należy się ludzić, aby w świadomości jego mogła zająć jakaś trwała zmiana na lepsze. Jest on beznadziejny jako członek przeżytej kasty. O ile, oczywiście, występuje w roli nieuprzywiljowanego obywatela kraju, uprawiającego w mozole swój żargon lub oddanego pracy społecznej w charakterze jednostki prywatnej — stanowi siłę dodatnią, w obecnych warunkach jedyny czynnik kultury na wsi. Rzecz dziwna jednak. Ludzie najzaciejsi i najlepszych chęci, bynajmniej nie zacofani, skoro tylko występują gromadnie, na podstawie wyłączności stanowej, popełniają czyny, rażące swą pierwotnością, budzące głęboki niesmak. Za byle skinieniem staje zwarty zespół — niestety pod sztandarem anachronicznej solidarności kastowej.

Senatores boni viri, sed senatus mala bestia.

Smutny ten stan rzeczy może ulec zmianie jedynie na skutek demokratyzacji ogólnego ustroju i rozwoju myśli postępowej w społeczeństwie. I dlatego tak doniosłe ma przed sobą zadanie na naszym gruncie grupa postępowca i demokratyczna.

Ludwik Abramowicz.

JAN ŻARSKI.

3

Ostatnie Natchnienie.

Naturalnie nie przyznał się do bezwocności swych poszukiwań — określił dowcipnie, iż podróż bywa często bardziej zajmującą niż cel do którego prowadzi, gdyż obdarzony względami realnej i abstrakcyjnej natury nie mógł bez grubijaństwa nie przyznać p. Lecie wyższości nad wszystkimi Natchnieniami jakie kiedy wędrowały u boku poetów. Przez chwilę nawet wydał się sam sobie nieprzytomnym idjącą — bowiem jakże cel mogło mieć Natchnienie, marzenie czy wyobraźnia wobec tak ponętnej koronkowo-jedwabnej rzeczywistości? To też, gdy po upływie dłuższego czasu wyszli oboje, by przedłużyć spacerem wzajemne obcowanie, na twarzy mężczyzny widniał raczej dosyć higienicznie — strawnej ucztę niż męka tworzenia — kobieta zaś starała się być elegancką i ponętą dla „Niego“ i dla wszystkich przechodniów z dorożkarzami łącznie.

Szli powoli zamieniając doskonale ułożone, wzajemnie się uzupełniające frazesy, robili to mijanych ludziach lub domach uwagi inteligentne, pełne wspomnień z czytań lub podróży zaczerpniętych, nie zapominali spoglądać na siebie namiętnie (on), cokolwiek wstydliwie, z subtelną miarą ze względu, bądź co bądź na wiek (ona).

Takim sposobem szli na jakieś dalekie przedmieście, mając na celu ciszę i malowniczość odpowiednią nastrojowi. Olsniewające wiosenne słońce błyskało raz po raz z za siwych, napęczniałych ciepłym deszczem chmur, fala światła zalewała złotym blaskiem parkany, domy srebrzyły się białawymi ścianami zmitytemi deszczami, mokre niedawną ulewą bruki parowały ciepłą wilgocią, a na koniuszkach czarnych gałązek wisiały ciężko tysiące tęczyowych kropli, ruchliwych i lśniących. Jak westchnienie, jak wąta, nikła myśl o bujności lata, lekka mgiełka zielona wionęła już przez krzewy — pachniała ziemia w ogrodach.

Z za jakiegoś nawpół rozwalonego parkanu z czarnych gnitych desek oblażonych zielonawą pleśnią od dołu, doleciał ich nagle śpiew wybuchający dzwięcznym młodym głosem, przechodzącym od nut

KROK WSTECZ.

Odkąd powstało w Rosji życie niby parlamentarne, zacieśnił się kontakt między prasą polską a rosyjską. Zbliżenie to, wzmacniające i pogłębiające, ongi bardzo powierzchowny wpływ Wschodu na Zachód, zaczyna dziś już wydawać owoce w większości wcale niepożądane. Kto bacznie obserwuje ewolucję, jakiej w ostatnich latach uległo dziennikarstwo polskie, ten dostrzeże na wielu punktach zwrot kulturalny w kierunku wstecznym. Nie mam tu bynajmniej na myśli nawrotów reakcyjnych niektórych stronnictw polskich. Reakcja jest normalnem następstwem rewolucji i bez wpływów postronnych doskonale się obywa. Idzie o coś innego, a bardziej istotnego.

Jednym z naczelných przejawów cywilizacji jest różniczkowanie się pojęć. Im kultura narodu jest starsza, tem język jego posiada subtelniejsze definicje dla określania rozmaitych momentów życiowych. Otóż właśnie na tym punkcie daje się teraz zauważyć pewne zubożenie mowy naszej. Pojęcia, które przed r. 1905 doskonale jeszcze odróżnialiśmy, obecnie ulegają pomieszaniu, a tem samem i zaciemnieniu.

Oto np. patriotyzm i nacjonalizm, dawniej bardzo mocno rozgraniczane, dziś prasa polska coraz wyraźniej ze sobą płacze. Wpływ to niewątpliwy publicystyki rosyjskiej, która do rozporządzenia swego ma w tej dziedzinie poprostu mniej wyrazów. Język polski odróżnia dwa terminy: lud i naród. Rosyjski posiada jeden tylko wyraz — „*narod*“, a pozatem świeżo zapożyczone słowo „*nacja*“.

Ubóstwo to było konsekwencją życia rosyjskiego, gdzie do r. 1905, „*narodu*“, w naszym pojęciu, wcale nie znano. Byt społeczny opierał się tam na dwu tylko czynnikach: na państwie (*gosudarstwo*) i ludzie (*narod*). Stosunki polityczne nie nastęrczały przez długie wieki żadnej sposobności do spajania tych dwu pojęć przy pomocy jakiegoś czynnika trzeciego, równie bliskiego jednej, jak i drugiej potędze. Państwo bowiem nie było organizacją społeczną, ale dziełem woli zewnętrznej, zgóry rozkazującej. Okres ten przechodziły i inne

państwa europejskie, przez poszczególne dynastje dla widoków ich tworzone. Stopniowo jednak, w miarę zanikania śladów średniowiecza, interesy domów panujących coraz bardziej musiały się rachować z interesami i wolą poddanych; aż w rezultacie historia nowoczesna ukazuje nam dążność powszechną do tworzenia się państw *narodowych*, zcementowanych wspólnością plemienną i kulturalną ludu.

Rosja tą drogą nie szła. Jej nowożytność stworzona została przez gienjalną wolę Piotra Wielkiego. Proces miał kierunek nie z dołu do góry, ale z góry na dół. Organizatorami państwa nie tylko mogli tu być, ale też w rzeczywistości byli ludzie obcy i z obcych wzorów czerpiący wskazówki dla swej działalności. Podczas więc gdy na Zachodzie powstawały państwa narodowe, na Wschodzie rodził się kolos biurokratyczny, o tyle tylko rosyjski, o ile wymagał tego interes biurokracji oraz potrzeby centralizmu.

Dokuczliwość przedsiębranej w tych celach rusyfikacji obcoplemieńców nie powinna zasłaniać nam faktu, że w gruncie rzeczy rusyfikacja owa poprzestała na celach bardzo powierzchownych, w których szło daleko więcej o pozory i fortyfikowanie władzy absolutnej, niż o rozpowszechnianie kultury rosyjskiej tam nawet, gdzie — jak np. wśród koczowników wschodnich — kultura ta mogła być poważnym czynnikiem cywilizacji i dawać się szcześcić z łatwością.

Ale tego rodzaju misje dziejowe spełniać może tylko naród, a w Rosji naród — że tak powiem — nie funkcjonował.

Nie istniało nawet w języku skryształowane jego pojęcie, wobec czego brakło też pojęcia patriotyzmu, jako siły politycznej, jako zbiorowej ambicji narodu.

Dopiero dziś rodzi się ona; obserwujemy ją w stanie mgławicowym. przytem dostrzegamy trudności, z jakimi walczyć musi wskutek tego, że strugi kultury zachodnio-europejskiej, wpływające tu i owdzie do morza rosyjskiego, tworzą najrozmaitsze wiry i utrudniają orientację.

Ambicja narodowa, czyli patriotyzm kojarzy się z nacjonalizmem, czyli żarłocstwem narodowem,

rozszalałych wesołością do śmiechu rozlewnej melodyjności.

Za zakrętem, wytarmoszone z zawiasów pochyłe wrota otworzyły im widok na śpiewaczkę — śmieszkę. Mirosławski ujrzał, jakby nowym wzrokiem, bosą w zblakłej niebieskawej sunkieńczynie, blado-różową i złoto-włosą roztarganą — wicherem i osypaną brylantami rosy dziewczynkę. Wiotka jak pręt wikliny pochylała się i gięła w ruchach tanecznej harmonji i na sznurach zadzierzgniętych od wiśni do jabłoni i od jabłoni do gruszy wieszala kolorowe szmaty. Biegała wznosząc ramiona, zrzucała czasami coś na ziemię, zginała się szybko lub podskakiwała ku wysokim gałęziom z białą lub różową płachtą i wybuchala to śmiechem, to śpiewem.

Spacerujący stanęli: p. Leta spoglądała przez wnętrze, zukosa obserwując twarz towarzysza zapartzonego i czując że tu coś chwalić, czemś się zachwycić należy, jakiś uczynić giest stawiający ją znów na pierwszym planie. Mirosławski przenikliwie, z natężoną uwagą patrzył, jakby na coś czekał... Dziewczynka odwróciła się nagle ku nim twarzą, błysnęła takim błękitem oczu, że się zdały nieba odbiciem, zaśmiała się szczerą purpurą ust na białych zębach

rozwartych i rozkrzyżowawszy czerwone łapki, jak rozpieszczony wiosną kociak przeciągnęła się rozkosznie, mrugając złotawymi rzęsami — poczem pierchnęła w zakamarki zabudowań, dźwięcząc śmiechem uroczym jak czarowne zaklęcie jakieś. Mirosławski doznał szybkiego niby olśnienia, mignęło mu przez mózg coś jak piorunowa tęczobarwna wizja, dawne młodzieńcze wzruszenie załomotało sercem w piersi. Wołało go echo jakieś cudowne, wydierało z rzeczywistości nieuchwytnie wrażenie niosące go dalej niż rzeczywistość i tem piękniejsze, im dalsze i tem droższe, im bardziej nieprawdopodobne, im bardziej, własnej wyobraźni kreacja dobrowolna, posłuszna marzeniu i nie sprzeczna z niem nigdy, bo nieziszczalna...

— Natchnienie moje — szepnął zdławionym głosem.

— *Charmante* ta mała — rzekła pobliżwie p. Leta — wie Pan? Temat gotowy choć tak banalny, ale w rękach pańskich... Wiosna, budzenie się instynktu... Któż z nas mój Boże nie ulega wpływom natury? Może to w nas najpiękniejsze ta nie zatracona dotąd zdolność ulegania porywom, którym... których właściwie intelekt nasz a może nawet czasami

poniekąd samą tylko siłą faktu, że język rosyjski, a więc i rosyjski światopogląd, dotąd nie wyeliminował pojęcia narodu. Używając obcego terminu „nacja“, piśmiennictwo tamtejsze wciąż jeszcze nie umie odróżnić patriotyzmu od nacjonalizmu. Nie zdaje sobie ono sprawy z tego, że podczas gdy patriotyzm obejmuje instynkty twórcze ambicji zbiorowej, nacjonalizm—niszczycielski; patriotyzm zasadniczo skierowany jest ku wnętrzu narodu, nacjonalizm—nazewnątrz; patriotyzm podnosi własny naród, nacjonalizm — poniża inne.

Europejska kultura społeczna na tym punkcie niema już żadnych wątpliwości; terminologia jest ścisła. To też nikt nie myśli o tworzeniu „szlachetnego nacjonalizmu“, ani też o potrzebie bronięcia uczuć patriotycznych, które—był czas—podlegały krytyce ze strony socjalizmu, gdy znajdował się on jeszcze w pieluchach. Dziś nawet tak głośni socjaliści, jak Bebel i Jaurès szczytą się otwarciem swym patriotyzmem niemieckim i francuskim, równocześnie wszelako ostro potępiając tak niemiecki, jak i francuski nacjonalizm.

W Rosji natomiast publicyści dopiero zaczynają dziś spostrzegać, że pewne uczucia społeczne dotąd nie mają swego wyrazu — wyrazu nie tylko w znaczeniu terminologii, ale i w tym jego stanie, który każdą definicję poprzedza. Oto pojawia się „coś“, z czego ludzie nie zdają sobie jeszcze sprawy, nie wiedzą, co to takiego. Z uczuciami nacjonalistycznymi, które wyhodowała kontrrewolucja, poczynają kojarzyć się jakieś instynkty twórcze, demokratyczne, sprzyjające postępowi kultury. I oto występuje raptem taki p. Rosławlew z koncepcją „szlachetnego nacjonalizmu“.

Jest to, oczywiście, etap myśli rosyjskiej na drodze do poznania rzeczywistości, czyli do uświadomienia sobie istoty patriotyzmu, dotąd wciąż jeszcze w Rosji niemego.

Głupstwem oczywistym byłoby z naszej strony pouczać owego p. Rosławlewa, iż dążąc do uszlachetniania nacjonalizmu, wpada w błędne koło; że pierwiastki, które on za atrybuty dodatnie nacjonalizmu uważa, są w istocie jego zaprzeczeniem; że potrzeba tu wyraźnego rozgraniczenia elementów i zróżniczkowania pojęć.

pojęcia etyczne pochwałać nie powinny... a właściwie z którymi bywają w scysji... komplikacji tych Panu tłumaczyć nie potrzebuję — te rzeczy rozumie Pan... odczuwa...

Mirowski wpatrzył się w nią osłupiałym, przygasłym wzrokiem. Poczł, ach tak, odczuł, najwyraźniej dzięki tym modulowanym tłumaczeniom, że cała przestrzeń jego wyobraźni, ba nawet zgoła intelektu, zapełnia się bezpowrotnie koronkowo-jedwabną, wyperfumowaną rzeczywistością a że nieprodukcyjnego Natchnienia jestto błysk ostatni.



Do tego wszystkiego myśl rosyjska musi przyjść sama tembardziej, że na nią oddziaływać nie możemy.

Nam o coś innego chodzić powinno. O to mianowicie, aby prasa polska, myśl polska, pod wpływem kontaktu z publicystyką rosyjską, nie przetrawiała tego, co już kultura polska dawno przetrawiła; by jadąc oklep na telegramach Agencji Peterspurskiej lub nieując artykuły dzienników „stołecznych“, patriotów nie nazywała nacjonalistami i odwrotnie, by nie lekceważyła zdobytej już precyzji terminologii polskiej.

Józef Sorokowicz.

Listy z Warszawy.

Teatr. Publiczność i krytyka.

Warszawa ma wszelkie pozory miasta, interesującego się teatrem. Rozmowy prywatne, artykuły i feljetony w dziennikach często kierują się ku teatrowi, który zdaje się odgrywać rolę nader poważną w życiu Warszawy.

Są to jednak pozory tylko, ku zadowoleniu jednych, niezadowoleniu innych.

Dziwnem wydawałoby się mogło, że rzekome zainteresowanie, okazywane przez Warszawę teatrowi, może wywoływać aż niezadowolenie. Wynika to z jaskrawości swych pozorów, z miejsca pierwszorzędnego, jakie teatr zajmuje w rozmowach, z nadmiernego „rozbawienia“ miasta, na które niektórzy moralisci reagować usiłowali.

W gruncie rzeczy rozbawiona Warszawa jest dziwnie obojętna względem teatru i traktuje go wyłącznie z punktu widzenia zabawy właśnie. A więc chodzi publiczność elegancka do teatrów, jako do miejsca *rendez-vous mondains*, na premjery i na występy znanych artystów, chodzi publiczność szersza do teatrów w celu wesołego przepędzenia czasu, publiczność najszersza zaś do teatru nie chodzi wcale, gdyż nie znajduje tam ani zabawy dla siebie odpowiedniej, ani nie ciągną jej tam obowiązki towarzyskie.

Teatr — jako sztuka, dziś dopiero doprowadzona do wyżyn estetycznych, które mistrze dawni przeczuwali gienjalną intuicją, teatr — jako cel odrębnych i nowych usiłowań najwybitniejszych artystów świata — nie jest znany Warszawie i Warszawa w bardzo słabym stopniu odczuwa jego potrzebę.

Trudno jest określić przyczynę takiego zastoj, ze względu na skomplikowanie i różnorodność elementów tej przyczyny. Jest to właściwie jeden z poszczególnych faktów ogólnego stępienia Warszawy na punkcie życia artystycznego, które z kolei przedstawia się jako błędne koło. Niema artystów, bo niema życia artystycznego, niema życia artystycznego, bo niema artystów. Artyści, którzy mogliby wytworzyć pewne ośrodki większej kultury estetycznej emigrują gromadnie do Paryża, Berlina, Monachjum, Wiednia, czy nawet Krakowa, pozostawiając Warszawę, pozbawioną sił twórczych, niezbędnych — w sensie społecznym — do wyrobienia całokształtu życia kulturalnego.

Ostatecznie przyczyny tego stanu rzeczy zawsze dają się sprowadzić do warunków politycznych

naszego życia i do nich też sprowadza się je w końcu, choć warunki polityczne są próbą usprawiedliwienia raczej, niż istotną przyczyną. Widzieliśmy w ostatnich dziesiątkach lat, w warunkach stokrotnie trudniejszych, przy skrępowaniu bez porównania silniejszym, dowody sprężystości życia, kłam zadającej wszelkim usprawiedliwieniom tej kategorii.

Wracając do teatru, pamiętać musimy, że Warszawa ma tu specjalne tradycje, które cenić wypada. Jeżeli nawet nie oddamy się przesadzie, towarzyszącej zazwyczaj wspomnieniom o dawnym teatrze warszawskim. Tradycja ta pozostała jedynie w pamięci starych ludzi, nie pozostawiając śladu na gruncie realnym. Brak więc Warszawy sprawnego kierownictwa teatralnego, wybitnych aktorów (pomijam rzadkie wyjątki), poważniejszej twórczości dramatycznej, fachowej krytyki — i zamilowania publiczności. Wszystkie te braki łączą się związkami przyczynowymi w nowe koło błędne i dowolny z tych braków jest przyczyną i skutkiem innego, dowolnie wziętego.

Od czego więc należy rozpocząć naprawę stosunków? To jest pytanie, na które odpowiedzieć trudno.

Zacznijmy od krytyki. Krytyka surowa a kompetentna bardzo wiele może uczynić w kierunku pożądanym, uświadamiając jednych, pouczając drugich, karcąc trzecich, a informując bezstronnie wszystkich. Krytyka teatralna w Warszawie nie istnieje tymczasem zupełnie. Ocena sztuk nowych i grą artystów zajmują się publicyści zdolni, nieraz bardzo zdolni, ale nie zajmujący się teatrem specjalnie, albo nawet sztuką specjalnie. Z bardzo nielicznymi wyjątkami publicyści ci piszą dziś o teatrze, jutro o życiu ekonomicznym, pojutrze agitują za żydami lub przeciw żydom, nazajutrz znów — niewiedomo o czym, bo pisać trzeba. Niewątpliwie między krytykami tymi są pisarze, wypowiadający często zdania trafne, słuszne, kompetentne, nie posiadają oni jednak danych odpowiednich, aby nowy ład zaprowadzić w dziedzinie życia, której nie oddają się całkowicie, lub chociaż na podstawie specjalnego przygotowania — biorąc już pod uwagę, że o specjalizacji kompletnej w prasie naszej mowy jeszcze być nie może.

Często w krytyce takiej miejsca kompetencji zajmują prywatnie, sympatje czy antypatje względem danego autora, aktora, reżysera, czy kierownika literackiego. To najmniej oczywiście przyczynia się do wzrostu kultury artystycznej w Warszawie.

Do chwili obecnej monopol bezwzględny mają w Warszawie teatry rządowe, które charakteryzuje... rządowa gospodarka pod względem finansowym i artystycznym. Monopol ten przejawia się w formie tak zwanej „szóstej części“. Teatry prywatne, koncerty i inne widowiska obowiązkowe są prawem kaduka płacić szóstą część swych dochodów na rzecz kasy teatrów rządowych. Szósta część dochodu — brutto — to jest ruina dla przedsiębiorstw tak kosztownych, tak ryzykownych i tak mało lukratywnych, jak przedsiębiorstwa teatralne. Ani jedna więc próba utworzenia teatru prywatnego nie ostała się w Warszawie.

Taki stan rzeczy byłby może bardzo racjonalny, gdyby teatry rządowe wywiązywały się jako tako ze swych zadań. Czyż można jednak wymagać, żeby rząd myślał na serjo o teatrach warszawskich, kiedy ma tak poważne kłopoty z budową pancerników, kwestją bałkańską, głodem w gu-

bernjach centralnych i knowaniami wrogów wewnętrznych?.. Trudno się ludzić.

Najlepsze nieraz chęci kierowników i reżyserów spotykają się z trudnościami administracyjnymi, zniechęcającymi w gruncie rzeczy do inicjatywy dalszej. Rezultatem tego muszą być trudności budżetowe, opieszałość, apatia, prywatność i faworytyzm w życiu wewnętrznym. Brak wszelkiego kierownictwa bezpośredniego możliwymi czyni wpływy uboczne fatalne i często zabójcze. Mowy nie może być zatem w teatrach rządowych o jakimkolwiek wysiłku, kierowanym myślą o samej sztuce, o jakichkolwiek eksperymentach artystycznych, o wprowadzeniu inowacji, odpowiadających prądom nowopowstającym, wreszcie o jakiegokolwiek myśli przewodniej, konsekwentnie przodującej czynom poszczególnym. A tego wszystkiego nie zastąpi kilku wybitnych w samej rzeczy aktorów, marnujących się tylko wobec warunków ogólnych.

Próby przeciwstawienia czegoś nowego ciężkiej maszynie teatrów rządowych bywały w Warszawie czynione kilkakrotnie, zwłaszcza w czasach ostatnich.

Podkreślić należy Teatr Artystyczny, założony zeszłego lata przez poetów Wroczyńskiego i Leśmiana. Najlepsze intencje kierowników rozbiły się jednak o brak środków, pozostawiając we wspomnieniach Warszawy jedynie dobre chęci przy niemocy czynu. W sezonie bieżącym powstał Teatr Zjednoczony, który dokonał wiele w trudnych warunkach istnienia. Teatr ten sięgał mniej daleko, niż Teatr Artystyczny, bardziej liczył się z warunkami miasta i ze swymi własnymi. Rozwój jego utkwiał jednak w martwym punkcie i przyszłość jest podobno zachwiana.

Nie zrażeni temi niepowodzeniami, zjawiają się jednak nowi inicjatorzy, którzy zapowiadają na rok przyszły powstanie dwóch teatrów prywatnych, tym razem władających środkami poważnymi. Powstanie takich teatrów jest bądź co bądź przerwaniem koła błędnego i może stać się początkiem naprawy stosunków w tym względzie. Czy tak będzie w istocie, to okażą inicjatorzy swą działalnością, którą w roku przyszłym będziemy mogli osądzić.

Innym razem napiszemy o rezultatach — czasem nieudolnej, czasem skrępowanej pracy teatrów obecnych. Wykazując niejaki ich zdobycze kulturalne, zmoderujemy może przyczarne barwy, które wystąpić muszą przy rozważaniu stanu ogólnego życia teatralnego.

P. M.

Jubileusze a zasługi.

Zeszyt kwietniowy „Krytyki“ krakowskiej przynosi artykuł pod powyższym tytułem, zawierający trafne a nacechowane wielką szczerością refleksje. Nie weźmie nam chyba autor za złe, jeżeli pozwolimy sobie przytoczyć je tu w całości niemal.

Żyjemy w czasie jubileuszów...

Święcimy stulecie urodzin, stulecie śmierci, półwiecze, [dwudziestopięciolecie — rozmaite daty kalendarzowe od pamiętnej chwili, kiedy...

Uroczystości, bankiety, mowy, mowy... mowy...

Każdy, kto ma to szczęście, że już nie żyje, albo jeszcze żyje, ale duchowo należy już do przeszłości, otrzymuje dar jubileuszowy — choćby

w słowach. Jak dawniej istniały płaczki pogrzebowe, tak teraz pisarze jubileuszowi, co z tym samym patosem i namaszczeniem piszą dzisiaj o Kraśńskim, jutro o Trembeckim, a do ekstazy dochodzą, gdy piszą o żywym — oczywiście, gdy ten należy do wielkości Familjenblattów.

Niedawno święciła „cała Warszawa“ jubileusz Or-Ota, niedawno czytaliśmy odezwę p. Straszewicza, zaczynającą się od słów: Biada ludom, co nie czezą swoich proroków.. Prorokiem tym, którego jubileusz „cała Polska“ ma święcić, jest p. Gomulicki. Któż tedy nie jest prorokiem i patriarchą narodu?

Przychodzi mi tedy na myśl: czyjego jubileuszu naród nie święcił?

Lista tych pracowników, których jubileuszu nie obchodzono, którym hołdów nie składano publicznych, byłaby może bardziej zajmującą od tych wielkich i uznanych, którzy są bohaterami kronik dziennikarskich.

Lista — wyklętych...

Szkoda — nie mamy jeszcze listy wyklętych w narodzie, wyklętych za życia i po śmierci, lub wyklętych za życia, a po śmierci czczonych jubileuszem.

Ciekawa byłaby lista...

We wspaniałej mowie o Hugonie Kołłątaju opowiada Ignacy Chrzanowski:

...„Umierał zupełnie opuszczony. Pogrzeb był cichy, mowy przy trumnie nie wygłosił nikt, pomimo, że był przeciw członkiem rozmiłowanego w „Pochwałach“ Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Zwłoki złożono d. 2 marca w katakumbach na Powązkach, ale nie położono nawet napisu na grobie, i oto dzisiaj wstyd — nie wiemy, gdzie spoczywa: reformator naszego Uniwersytetu i twórca ustawy majowej“.

To — Wyklęty.

Wyklęty za życia; w sto lat po śmierci, gdy nie jest już „szkodliwy“, część społeczeństwa urzęda mu książkowy jubileusz, a naród? „Czas“ korzysta ze sposobności, by przypomnieć, co o Kołłątaju pisał prezes Akademii Umiejętności:

„Był w nowym kształcie egzemplarzem dawnego wichrzyciela polskiego, któremu sam sto razy zgubę Rzeczypospolitej przypisywał, z tą różnicą, że tamten burzył i podszczuwał szlachtę, a ten pospółstwo uliczne... Człowiek, znający historję, wie, do czego takie środki wiodą i jak się kończą. W krajach silnych, jak Francja, wiodą przez Robespierrow do despotyzmu, w słabych, jak Ateny, przez Kleonów do upadku i niewoli obcej. Kołłątaj, który historję znał i był nawskroś człowiekiem politycznym, używał z całą świadomością środków nie już moralnie złych, ale politycznie fałszywych, bo w nich widział stopień do władzy“.

Słusznie też naród wyprawił był p. hr. Tarnowskiemu jubileusz, jakiego nigdy żaden polak nie miał, a p. Hoesick opowiedział jego żywot w dwóch tomach — Kołłątaja jubileusz pociągnął za sobą kilka tylko mów i artykułów. Był przeciw Kołłątaju tylko największym wskrzesicielem światła w ginącej Polsce i autorem Konstytucji 3 maja.

Wyklęty!

Był „wichrzycielem“. Za jego może poszeptem „pospółstwo uliczne“ wieszalo targowiczana... Tego się nie wybacz!

Teraz gdy duch tego wyklętego krąży nad nieznaną swą mogiłą, wielki, samotny, obcy, jak za życia, spotyka się może z duchem poety, który

w rozwoju kultury polskiej, poezji narodowej, także coś znaczy, i który także zeszedł „bez światła oklasków“ i w nieznaną dziś nikomu spoczął mogile — z duchem Antoniego Malczewskiego.

I on wyklęty... Heretyk obyczajowy, heretyk poetycki w czasie, gdy literaturą rządził Koźmian, Osiński, protoplaści dzisiejszych Tarnowskich.

Miał za życia jubileusz Józef Ignacy Kraśzewski. Człowiek, „który więcej książek napisał, niż inni przeczytali“. Który nie deklamował o anielstwie, o wprowadzeniu Chrystusa w życie, lecz jeden z pierwszych ujął się za chłopem w strasznym okresie pańszczyźnianym. Który wszechstronnością i beźmiernym trudem swego talentu więcej rozsiał po Polsce kultury, niż w ciągu dziesięcioleci niejednego uniwersytetu. Który czynił ofiarę z tego, co miał najlepszego: duszę prawdziwie artystyczną rozmiął na drobną monetę i zamiast być arystokratą ducha „piekł chleb razowy dni powszednich“. On jubileusz miał wspaniały. A nazajutrz pisał do przyjaciela: „W kielichu tym, który się ludziom wydawał pełnym ambrozji bogów, nie mało było żółci i goryczy. To też mam teraz po nim spalone wargi i tylko gorycz została“. „Jubileusz ten czy był pręgiem, czy tryumfem, to dla mnie rzecz nierozstrzygnięta“...

Bo pod pręgiem „rząd moralny“ społeczeństwa stawiał „wyklętego“, który był autorem „Rachunków“, patronem demokracji, wrogiem nieomylności papieża. I gdy zwłoki jego przywieziono do Krakowa, podstępnie trzeba było, by u biskupa uzyskać nabożeństwo... Dwadzieścia pięć lat temu!

Jaki jubileusz miał Cyprjan Norwid? Za rok będzie trzydziestolecie jego śmierci. Pogrzebowi jego dwie osoby towarzyszyły. Juliusz Słowacki, który wyczekiwał u bram Empirejskich, by młodszego ducha-brata przyjąć w grono nieśmiertelnych, mógł dwa pogrzeby porównywać; za swoją trumną czuł bądź cobądź trochę więcej osób. Nie o wiele; zawsze... A cisza im towarzyszyła ta sama i potąd spoczywają jeszcze na obczyźnie, jakby obcy, jakby wyklęci.

Gdyby zaś żyli — jak myślicie? jaki jubileusz wyprawiłby Kraków żywym u autorowi „Kordjana“ i „Króla Ducha“, lub autorowi „Kleopatry“ i poematu „Quidam“?

Słowackiego nawet śmierć nie pogodziła z oficjalną reprezentacją narodu. Norwid do zaszczytu jubileuszu narodowego dotąd nie dojrzał. Może w setną rocznicę śmierci...

Tymczasem dla historii literatury oficjalnej nie istnieje... Wyklęty!

I więcej, więcej dałoby się znaleźć nazwisk. Ludzi, nie służących zwartej większości, stawiających sobie cele tak odległe, że ani za życia, ani tak rychło po śmierci nie spotkają się przy nich z „przeciętnością“, która rządzi i siebie czci — czeząc swego reprezentanta-jubilata. Ludzi, którzy świadomie prawdę swoją jak piołun obrali sobie za pokarm, nie uczyły i toasty. Ludzi, którzy pytają: żalim istotnie największy, czy aż tak lichy żem do gustu przeciętności, t. j. do jubileuszów kurjerkowych dojrzał?

Rozumiem dobrze, czemu przed kilkoma laty Jan Kasprówicz przestraszył się, gdy przypomniano, że właśnie dwadzieścia pięć lat upłynęło od ogłoszenia przezeń pierwszych poezji. I rozumiem, czemu cicho o dwudziestopięcioleciu twórczości Stefana Żeromskiego.

A przeciw jeśli kto, to z pośród żywych oni

mają prawo do hołdu. W ich utworach nigdy nie było egoizmu i małości.

To też sceptycznie i z melancholją spoglądam na obchody ku czci zmarłych; rzadko kiedy wypływa stąd coś, co obowiązuje; z jeszcze większą melancholją na jubileusze żywych...

I myśleć zawsze muszę: czyjego jubileuszu nie święci się. Może ci wyklęci najwięcej sięgają w przyszłość... Może serca złamane za życia jedyną są podwaliną dla kościołów pokoleń dalekich...

Tadeusz Bezimienny.

Małpa i zwierciadło.

(Bajka).

(Z tematów Kryłowa).

Ktoś w lesie pozostawił kawalek zwierciadła.
Ujrawszy w nim swój obraz, Małpa trąca Misia.

— Patrz, co za pokraka tam siadła,
Morda ni to psia, ni lisia...

Warjackie ruchy;

A chwost, a ślepia, a słuchy!...

Gdybym taką miała postać...

Nie! raczej niedźwiedziem zostać!

Tu Misio zmrużył ślepia.

— Co? nieznasz jej?—pyta.

— Skądże? Mam wprawdzie kuzynkę,
Podobną krztynkę,
Ale biedaczka od młodych lat
W puszczy ukryta.

Bo, powiedz, z taką gębą jakże wchodzić w świat?
Miś nie zdzierzył i nagle ryknął z piersi całej,

Aż sosny w koło zadrzały:

— Bajkopisie! Spójrz na tę małpę i zwierciadło.
Pomyśl, ile twej pracy daremnie przepadło.

Benedykt Hertz.

Dwa dokumenty.

*Dyaryusz przybycia do Duboi jaśnie wielmożnego Tymoteusza Tutołmina, generała anszeffa, senatora, wielu orderów kawalera, Mińskiego, Wołyńskiego, Podolskiego y Braclawskiego generat-gubernatora z szanowną familją y przyjścia przez Kurzenieckich kasztelanów Witebskich roku 1796 dnia 18 stycznia r. s. *)*

Uwiadomiony J. W. kasztelan o przybyciu J. W. generał-gubernatora do Łohiszyna, o cztery mile od swej rezydencji, udał się na powitanie y zaproszenie do domu swego, gdzie podesławszy kilka cugów swoich dla przedkier podroży, przewodniczył jegoż domowy tą drogą, która umyślnie była zreparowana.

Na granicy dóbr Duboya zwanych, w powiecie pińskim leżących, wystawiona była brama z tym napisem:

Voila Seigneur c'est un endroit,
Ou t'attend un coeur tendre avec son droit.
Oto jest miejsce! gdzie życzliwość szczerza
Obowiązane serce otwiera.

Za zbliżeniem się J. W. generał-gubernatora do tej bramy bito z harmat, a włość tego miejsca mężka rzuciła wieńce pod pojazd y oddawała chleb z napisem:

Z dobrymi pany primujet was rada
Sercom prawdywem y nasza hromada.

Po złożeniu chleba powtarzała okrzyki:

— Żyj szczęśliwy y łaskawy Pane!

A pleć żeńska składała frukta.

Te zgromadzonych włóścian życzliwe y radosne oświadczenia uprzejmie przyjąwszy, J. W. generał-gubernator udał się do pałacu y gdy zaczął się zbliżać do bramy przedpałacowej, ciągle bito z armat, a muzyka dęta grała na balkonie, gospodarstwo zaś zaś same z przytomnymi obywatelami na ganku czekającymi, mieli ukontentowanie przyjmować tak wielkich y szanownych gości, których, gdy wprowadzili do pierwszego pokoju, przywitani byli od grona dam licznie zgromadzonych, przez gospodynię prezentowanych y zaprowadzeni do sali. Tam gdy nieco zabawili y wyznaczone sobie odwiedzili pokoje, dane likier y etc. y obiad, przy końcu którego spełniano zdrowie J. W. generał-gubernatora przy rzesistem bicu z armat y odgłosie muzyki dętej. Po skończonym obiedzie nadjechał J. W. J. P. Kochanowski Bieluha pułkownik, z całym sztabem w Pińsku konsystujący, y rozpoczęła się muzyka od kantu, który śpiewany był od Filomeny Prószyńskiej, sędzianki Mińskiej y Michaliny Przybytkowskiej, damy Dworu w takiej osnowie:

Uległy losów przykreemu zdarzeniu
Co strata zdrowia już był cechowany.
Żyje przytomny w całym zgromadzeniu
Życ będzie w sercach przychylnych kochany.
Uderzmyż wszyscy teraz w nasze dłonie,
Niechaj powierzchwny znak ten wytłumaczy,
W jakiej radości serce nasze tonie.
Gdy nam swą bytność dziś darować raczy
Mąż pełen zasług, zaszczytu i chwały,
Mąż pierwszy dzierżąc rząd u nas po Tronie,
Mąż dla narodu dobra wylan cały,
Uderzmyż wszyscy najradośniej w dłonie.
Niechaj się ten głos wszystkim słyszeć daje,
Czuciem radości z serca wydobycy;
Niech się powtarzać echo nie przestaje,
Komu cześć niesiem y hołd przyzwoity.
Mężu czci godny, na co zwrócisz okiem,
Wszystko ci powie jednostajnym głosem,
Jako dla tego jest wesół, ochoczy.
Každy ze szczęsnym was tu wita losem.
Oświadczeń więcej wam nie trzeba pono,
Jaką przychylnie wasza radość rodzi;
Obywateli tu przytomne grono
Że z tego źródła wypływa, dowodzi,
Ze tylko tajnem niema być nikomu,
Że ta cześć, ten hołd, to uszanowanie
Z jakim przyjmują was w tutejszym domu,
Na zawsze dla nich jednake zostanie.

I ten złożonym został w ręce J. W. generał-gubernatora, a tymczasem, wieczorną porą, za pałacem, dała się widzieć iluminacja w takim układzie. Środek jej trzymała wspaniała brama pod

*) Sbornik dokumentow, kasajuszczichsia administratiwnago ustrojstwa Siewiero-Zapadnago kraja pri Imperatrice Jekatierinie II (1792 — 1796). Wilno 1903, № 206 str. 310.

orłem narodowym, w górze której dała się widzieć w ogniach cyfra, zawierająca litery B. T., a we śródku druga cyfra, mająca litery T. T., wyrażająca imiona przybyłych szanownych gości; na postumencie zaś bramy taki był napis:

Kto te litery okiem swem przebieży,
Zgadnie, kto to jest, kogo cześć należy.

Po bokach bramy, między kolumnami wydawały się w ogniach tychże szanownych gości herby, pod którymi te były napisy:

Oto jest widok czci y radości,
A w sercach naszych ołtarz wdzięczności

Z prawej y lewej strony tej bramy rozciągały się długości pałacu wyrównywające pawilony, złożone z piramid. w górze literę T mających, a przez śródek festonami związanych, między którymi pomniejsze umieszczono bramy ogniem różnych kolorów w przemianie widok sprawujące. Wsparta zaś ta brama była po obu stronach genjuszami. W ciągu tej iluminacji J. W. generał-gubernator rozpoczął bal, wzięwszy w taniec gospodynię domu y do późnej pory bawiąc; gdy dało wieczór, udał się do swoich pokojów na spoczynek y po tej w późną noc trwała jednak na pokojach kompanja.

Dnia następującego, to jest 19 stycznia, czas przedobiedni przepędzony jest na oświadczeniu uwagi J. W. generał-gubernatora; udano się potem na obiad, podczas którego, przy rześmitem ogniu z harmat y odgłosie muzyki, spełniano zdrowie J. W. generał-gubernatora; po ukończonym obiedzie, pod wieczorną porę, gospodarstwo tak J. W. generał-gubernatora y szanowną jego rodzinę, jako licznie zgromadzonych obywateli zaprosili na teatr, na komedję, po której zakończonej, z satysfakcją największą, okazało się na teatrze drzewo laurowe, mające u wierzchu wieniec, przez który przeciągniona trąba y na ukos gałązka laurowa wydawały się w ogniach; nad wieniec był napis:

Vaines flammes, avec rayons ne faites par plus votre lutte.
Un grand nom luit qui de tout ombre se rebute.

Skończcie z promieniami walkę płomienie,
Sama tu świeci świetność imienia.

Po bokach drzewa między gałązkami z lewej strony wydawały się w ogniu cyfra, mająca litery T. T., a z prawej strony druga także w ogniach cyfra, zawierająca litery B. T. Śpiewany był chórem kant przy biciu harmat następujący:

O momencie radości!
Dar to jest szczęścia rzadki
Mieć w domu świetnych gości,
Szczególnych łask zadatki.

Niech wasze oko czyta,
Co znaczą nasze czoła,
Tak dom życzliwy wita,
Jak tylko witać was zdoła.

Przyjmicie tę zabawę,
Ona się dla was czyni;
My w was mamy poprawę,
Jeśli się co przewini,

A to zaś przywiązanie,
Które na zawsze znamy,
Obliczem waszem, panie,
Dziś w dwoje pomnażamy.

W dowód zaś serca nasze,
By mogły być dobyte,
I tam wielbienia wasze
Są w takich słowach wyryte:

Wszyscy się wspólnie cieszymy,
Szanowne czeząc przybycie,
Złożyć dań winną śpieszmy,
Życząc najdłuższe życie.

Jeszczeby można było
Najdłużej cię utrwalić
Byłoby nam ci miło
Podatek z dni uchwalić.

Pewnie, jak każdy zna cię
Z tylu ziomek tysięcy,
Nie żałowałby dla cię
Kilka oddać miesięcy.

Bo warte Twoje cnoty
Nieśmiertelnego wieńca;
My sądzim dość z prostoty
Co każdy z nas poświęca.

Po komedji J. W. generał-gubernator ze wszystkimi udał się na salę, gdzie znalazł iluminację w ogrodzie zapalacowym y rozpoczęły się tańce, w późną noc trwające.

Dnia 20 stycznia zgromadzeni obywatele zrana, na czele których był J. W. J. P. Kurzeniecki kasztelan Witebski y Świeżyński marszałek Piński J. W. generał-gubernatorowi powiatowe uniwersalne przekładali żądania, na które przy zwykłej ludzkości y łaskawości J. W. generał-gubernatora, z największą satysfakcją nieodwłocznie odebrali rezolucję; nadto przeświadczywszy się, że samych rządców usta wydają zawsze słodczyce, których subalterni najczęściej uchybiają. Dany potem obiad, podczas którego oświadczyli gospodarze podziękowanie za uczyniony honor domowi ich y spełniano zdrowie J. W. generał-gubernatora y całej familii przy odgłosie muzyki y rześmitem biciu z harmat. Po zakończonym obiedzie, gdy J. W. generał-gubernator mimo usilności największe gospodarzów, aby zabawić jeszcze raczył, dla pośpiechu dla otwarcia guberniów Braclawskiej y Podolskiej dłużej bawić nie mógł, ci oświadczyli żal uczuty z odjazdu tak wielkiego y szanownego gościa, a J. W. W. generałowie gubernatorowie y cała familia oświadczały wdzięczność. Który gdy wychodził z pokoju, muzyka na balkonie pałacowym grała y rześmitem bito z armat, póki nie przyjechał do końca wsi, Duboya zwanej, gdzie zgromadzeni włościanie, rzucając wieńce pod pojazd, radosne powtarzali okrzyki pomyślności podróży życzące. Za ruszeniem się od wsi Duboi bito z harmat, aż do przybycia do bramy na granicy Duboyskiej wystawionej, na której taki był napis:

Pourquoi a nos yeux vous vous echappez,
Etant de nos coeurs pour toujours attrapé.

Oczy cię tracą łaskawy Panie,
Lecz pamięć w sercach zawsze zostanie

Okolo tej bramy zgromadzeni włościanie, osobliwie którzy nie mieli szczęścia powitania, oświadczyli pożegnanie, oddając chleb z napisem:

Hdi Wasza Miłost' bude y stane
Ne zabuwaj nas Pane.

To życzliwych włościńców oświadczenie chętnie przyjąwszy J. W. generał-gubernator y zaleciwszy uczynić podziękowanie J. W. W. kasztelanom, przy biciu z armat udał się w przedsięwziętą drogę do ujazdowego miasta Pińska, któremu y J. W. kasztelan asystował dla pomnożenia grona dworzńskiego.

Żołęganie gubernatora D. M. Lubimowa i jego małżonki przez szlachtę wileńską.

Czytamy w gazecie „Wilenski Wiestnik“ (№ 2639 z d. 3 (16) kwietnia 1912 r.).

„W niedzielę 1 kwietnia szlachta gub. wileńskiej ze swym marszałkiem na czele żegnała obiadem w klubie Szlacheckim pp. D. M. i L. I. Lubimowów.

Stół, tonący w powodzi kwiatów, zastawiony był na 86 osób. Zasiadło doń przeszło 60 obywateli ziemskich rosjan i polaków, niektórzy ze swymi żonami. Obecni byli również, zaproszeni przez szlachtę, wyżsi przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych, z T. M. Martsonem, dowódcą wojsk na czele.

Takiego zjednoczenia towarzystwa rosyjskiego i polskiego nie pamiętają najstarsi mieszkańcy Wilna; fakt ten wymownie świadczy o roli społecznej, jaką odegrywali opuszczający Wilno gubernator i jego małżonka.

L. I. i D. M. Lubimowowie przyjechali o godz. 8-ej wieczorem.

Przed obiadem szlachta ofiarowała p. Lubimowowi adres w ozdobnej tece, odczytany przez marszałka gubernjalnego oraz na pamiątkę od gub. wileńskiej artystyczny przyrząd srebrny do owoców i kwiatów (surtout de table), przyczem w charakterze najstarszego członka komitetu ochrony lasów witał D. M. Lubimowa, w imieniu wszystkich uczestników daru, p. E. Butkiewicz.

Podczas obiadu toast na cześć Najjaśniejszego Pana, spotkany szumem „ura“ i przy dźwiękach hymnu państwowego, wniósł dowódca wojsk T. W. Martson.

Następnie gubernjalny marszałek szlachty pił za zdrowie D. M. i L. I. Lubimowów, przyczem scharakteryzował w krótkich słowach ich działalność i wyraził żal głęboki z powodu ich odjazdu z Wilna.

B. poseł do Rady Państwa z gub. wileńskiej i prezes wileńskiego T—wa Rolniczego p. Hipolit Korwin-Milewski w obrazowej i obfitej w dowcipne porównania mowie, mówił o działalności D. M. Lubimowa w warunkach życia na kresach zachodnich, w których pozostając w zupełności rosjaninem w zakresie czynności administracyjnych, potrafił, zawdzięczając swemu taktowi i wyjątkowym zaletom rozumu i serca, pozyskać szacunek obywateli ziemskich z gub. wileńskiej.

Prezydent miasta i obywatel ziemski p. M. Węśławski zwrócił się do L. I. Lubimowowej z przemówieniem, w którym podkreślił jej serdeczną gościnność, dzięki której salon jej stał się ośrodkiem życia społecznego i towarzyskiego Wilna.

B. marszałek szlachty pow. lidzkiego p. L. Kobyliński w krótkich, lecz mocnych słowach wskazał na owocną działalność D. M. Lubimowa w gubernji.

Jako miejscowy szlachcic — urzędnik, A. A. Dobrzynskij, naczelnik ziemski wygłosił mowę na ten sam temat.

Odpowiadając na wystosowane doń przemówienia, D. M. Lubimow zaznaczył, że będąc pierw-

szym gubernatorem, przy którym urzeczywistnione zostały darowane swobody, usiłował wszelkimi środkami zależnymi odeń, wykonywując wolę Najwyższą, stosować je ściśle i zgodnie z prawem, z uwzględnieniem interesów państwowych, które mu powierzono. I jeżeli obecnie osiągnięte zostały rezultaty w ułożeniu stosunków wzajemnych szacunku i ufności między administracją i szlachtą osiadłą na roli, to wynik ten zawdzięczać należy głównie samej szlachcie, tu jak i wszędzie w Rosji, mocno przechowującej tradycje dominującego w Rosji stanu, tradycje honoru i szlachetności, przy bezgranicznym oddaniu się Tronowi i dziedzicznie niezmiennych osobistych cechach gentlemanów.

Mowę swą zakończył D. M. Lubimow, pijąc za zdrowie szlachty wileńskiej i wszystkich obywateli ziemskich z gubernji.

Po mowie D. M. Lubimowa p. P. Kończa, wice-prezes wileńskiego T—wa Rolniczego i jeden z inicjatorów obiadu, wniósł toast na cześć gości w osobie obecnego dowódcy wojsk T. W. Martsona, który odpowiedział toastem, w imieniu gości, na cześć szlachty wileńskiej, która zaprosiła ich na swój bankiet.

P. A. Lubański pił za zdrowie pań, ostatni zaś toast wniósł D. M. Lubimow w ręce gospodarzy obiadu: pp. M. Węśławskiego, P. Kończy, A. Krasowskiego i Sz. Meysztowicza. Po obiedzie grono uczujące spędziło czas jakiś na ożywionej pogawędce i wreszcie wszyscy się rozjechali pod wrażeniem, że dzień ten, który zespolił rozmaite elementy społeczeństwa wileńskiego ogólnem uczuciem szacunku i życzliwości względem D. M. i L. I. Lubimowów, pozostawi głęboki ślad w pamięci wszystkich obecnych“.

Tradycji stało się zadość. A są ludzie, którzy lamentują nad jej upadkiem!

*Nowele Weysenhoffa. *)*

W przerwach pomiędzy powieściami, Weysenhoff napisał szereg krótkich utworów o charakterze nowelistycznym. Nie są to, ściśle rzecz biorąc, nowele. We wszystkich istnieje pewien niestosunek pomiędzy nadmiarem szczegółów drugorzędnych, a zwięzłością motywu zasadniczego. Jako powieściopisarz, mający niezmiernie dokładną wizję rzeczy, ludzi i charakterów, Weysenhoff nie chce nigdy poprzestać na szkicowości nowelisty. Maluje szeroko, bardzo szeroko tło, buduje drobiazgowo psychologię bohaterów, w wyrazistej gawędzie tłumaczy czytelnikowi swe zamiary, a fakt naczelnny opowiadania podaje w zakończeniu, jako *pointę*.

Nowela tytułowa zbioru („Znaj pana“) jest pod tym względem znamienita. Wycieczka hrabiego Teodora Odwagi-Konopackiego do Paryża jest jakby jeszcze jednym rozdziałem z „Podfilipskiego“. Obrazy „używania“ pana hrabiego posiadają tę samą pewność rzutu, tę samą swobodę i pla-

*) „Znaj pana. — Pani Teodora. — Pod piorunami. — Wyroki. — Dwa sumienia“ przez Józefa Weysenhoffa. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 167 w 16-ce.

styczność, tę samą świetną znajomość środowiska, co w ironicznej opowieści o czynach i myślach niezapomnianego pana Zygmunta. Skoro tylko Weysenhoff zbliży się do ludzi *tamtego* świata, opowiada z wielką werwą, żywością i dosadnością. Więc też o hulankach pana Konopackiego wiemy znacznie więcej, niż nam było potrzeba dla zrozumienia jego butnej fantazji szlacheckiej, gdy rzuca na cele oświaty emigracyjnej te właśnie pieniądze, które na zabawę swą przeznaczył. Weysenhoff uśmiecha się jeszcze pomiędzy wierszami, ale to nie ten zimny uśmiech, który tak niepokoił w „Podfilipskim”. Twórca „Hetmanów” i „Dni politycznych” w nowelach swych troszczy się równie wyraźnie o pokład społeczno - patryotyczny. To jest dominująca cecha w jego obecnej twórczości. Widać, że ceni ją niemniej od swych wybornych typów i opisów. Konopackiego autor przetwarza w oczach czytelnika, a chociaż to czyni z tym samym szczerem, co zawsze talentem, nie może się powstrzymać od „obywatelskiego” wykładu: „Nie żałował (Konopacki) bynajmniej swego bujnego porwy, gdyż miłe, a nieznane fale płynęły mu przez serce. Dzisiaj już kilku ludzi, jutro tysiące, gdy się dowiedzą, będą z wdzięcznością wymawiały jego nazwisko; jeżeli nie twórczą pracą, choć datkiem przyczynił szczęścia ludziom swoim. Bo na gle poczuł serce do rodaków, nietylko do błakających się w odmęcie cudzego życia, lecz do tamtych, którzy siedzieli „w podłym klimacie” podolskim”.

Bez dopełniających wyjaśnień dydaktycznych nie chciał Weysenhoff pozostawić też pięknego opowiadania p. t. „Wyroki”. Nie wystarczyła mu oryginalna, wyborna charakterystyka stosunku księcia Koreckiego i „protegowanego” przez niego rzeźbiarza Bujnickiego, z których pierwszy zmarł w swym życiu na jałowej vegetacji, a drugi — swój talent. Pochowawszy obu w grobach, autor skazuje ich na pośmiertną „wędrowkę błędnych cieni”, aby pokazać ich pokutę: Cień Koreckiego „błąka się tylko w układach prawno-ekonomicznych i w dziełach cudzych, jako cyfra pieniężnego datku. Mówi się jeszcze o masie spadkowej po Koreckim, o projekcie biblioteki Koreckich, ale nikt już nie umie nawet w wyobraźni uprzytomnić sobie, kim był książę Adam, ostatni z rodu. Duch zaś Jana (Bujnickiego) błąka się dotychczas w czystocowej pokusie, iż wysłany był na dzieła większe, talenty otrzymał nie ze złota, lecz z prakruszcu Bożego kowane, których nie oddał w przeznaczoną przez Wyroki mierze podczas wcielenia swego”.

Taki sam ton wysokiej troski moralnej istnieje w antytezie nowelistycznej p. t. „Dwa sumienia”, w których autor przeciwstawia *sumienie* męża, gotowego sprzedać cześć swej cudnej żony, z *sumieniem* chłopca-barbarzyńcy, oddającego w szczytnej skrusze tej „świętej” kobiecie pieniądze, jakie otrzymał za krzywoprzysięstwo. Całe szczęście, że rysunek charakterów nie traci nic na tej trosce. Weysenhoff pozostaje rzetelnym artystą nawet wówczas, gdy wprowadza do swej sztuki obce jej czynniki.

Ujawnia się to zwłaszcza w opowiadaniu „Pani Teodora”, nagrodzonym na konkursie „Tygodnika Ilustrowanego”. Założenie jest tu nieco książkowe, wstęp — cokolwiek pedantyczny. Ale majaczenia stuletniej, napół obłąkanej pani Teodory, owej „wróżki z napoleońskiej bajki”, która trwa wciąż w słodkim marzeniu o cudnym bohaterze — księciu Józefie, należą do najpiękniejszych fragmentów twórczych Weysenhoffa. Miara artystyczna

pozwoili autorowi powstrzymać się od łatwego sentymentalizmu, a całą wizję odziać w ogromnie dyskretne, gobelinowe barwy.

Uniknął też Weysenhoff szczęśliwie łatwego działania na wolę czytelnika w opowieści „Pod piorunami”. Jest to jeszcze jeden fragment z martyrologji unickiej, obficie opisywanej w zarysach historycznych, a względnie mało wyzyskanej w naszym powieściopisarstwie. W noweli swej Weysenhoff spojrzął na bohaterów niedawnych udreżeń bez patosu. Dobrotliwy uśmiech pozwolił mu za to wydobyć wspaniałe efekty zasadniczej antytezy noweli: Młody proboszcz boi się śmiertelnie burzy z piorunami, a właśnie podczas takich burz udziela potajemnie ślubów i chrztów unitom.

Cały zbiór nie powiększy może chwały literackiej autora „Podfilipskiego”. Ale stanowi jeszcze jedno dzieło dojrzałego talentu, który rozwinał znakomicie swe środki artystyczne i udoskonała je nieustannie, nawet pomimo tendencji do dydaktyzmu społecznego.

Jan Lorentowicz.

Sumienny podręcznik.

J. Grabiec. „Dzieje Narodu Polskiego”. Kraków. Spółka nakładowa „Książka”, skład główny: Warszawa, G. Centnerszwer i s-ka. Str. 382.

Na jednym z uniwersytetów zagranicznych słuchałem kiedyś wykładów prof. Kuno-von Kno-nau. Opowiadał nam dzieje Europy środkowej, a potracając o sprawy polskie, traktował je z widocznym lekceważeniem. Zirytowany tem, wyczekiwałem niecierpliwie godziny Grunwaldu. Tu, sądziłem, prosiorem będzie musiał przyznać, że jednak owa Polska nie była taką *quantité négligeable*, za jaką usiłują ją przedstawić; spodziewałem się, iż tryumf Jagiełły da mi cichą satysfakcję moralną za wszystkie przykrości, na wykładach tych doznawane. No i nadeszła wkońcu upragniona prelekcja. Pierwszy zjawiłem się w audytorjum i spoglądałem na profesora tak, jakby to nie Jagiełło, lecz jakbym to ja sam pobił ongi krzyżaków.

Lecz nie stropiło to bynajmniej prof. Kuno von Kno-nau. Objawił nam z całym spokojem, że pod Grunwaldem stał się wypadek fatalny: barbarzyństwo odniosło tryumf nad cywilizacją.

Przez pewien czas na wykłady te nie chodziłem wcale, a na profesora patrzeć nie mogłem. Uspokoilem się dopiero wówczas, gdy się przekonałem, że niema takiego historyka, w którym nie byłoby bodaj odrobiny Howajskiego. Spozstrzegłem też, że nie będąc specjalistą, ale chcąc znać dzieje z podręczników, nie można być nigdy pewnym prawdy, gdy się czyta historję Francji po francusku, Niemiec — po niemiecku, Rosji — po rosyjsku, Polski — po polsku. Autorowie najbezzstronniejsi nawet okazują się stronni i względne tylko mogą budzić zaufanie.

Począwszy od Naruszewicza, a kończąc na Bobrzyńskim, (nie wyłączając nawet Lelewela), czytelnik krytyczny, zamykając książkę, zadaje sobie pytanie: „ciekawa rzecz jednak, jak to *naprawdę* było?”

Dziejopis, zwłaszcza zaś autor podręcznika popularnego, jest zawsze napół beletrystą i publicystą. Studja naukowe uzupełnia fantazja i tendencja społeczna. Lecz niedosć tego, autor taki

jest również—a niekiedy tylko sili się, by być—filozofem: by opisywane sprawy przedstawiać z metafizycznego punktu widzenia.

Wszystko to zaciemniać musi obraz rzeczywistości w umyśle czytelników; wszystko to sugestjonuje go i samodzielne wnioskowanie utrudnia.

A trudność ową — pamiętajmy — znakomicie jeszcze i to powiększa, że większość podręczników historycznych wysuwała zawsze dotąd na pierwszy plan życiorysy monarchów, dygnitarzy, opisy wojen i politykę zagraniczną — sprawy zagraniczne, w ścisłym znaczeniu tego słowa. Ewolucja socjalna, rozwój kulturalny, ruchy społeczne zarówno przez historyków literatury, jak i historyków właściwych pozostawiane były w cieniu. Zjawiska więc najistotniejsze, stanowiące fundament dziejów *narodu* i warunkujące efektowne, barwne epizody dworsko-wojackie, traktowano mimochodem, a nawet pomijano je całkowicie.

Wprawdzie uczynił już Smoleński wyłom w tej fatalnej tradycji; ale będąc sam badaczem źródłowym głównie stosunków społecznych XVIII st., na ten właśnie okres przechylił ciężar swego obiektywizmu naukowego.

Obecnie podjął p. J. Grabiec nową próbę napisania podręcznika, przedstawiającego nam nie historyjki o królach i wojnach, ale dzieje *narodu* polskiego.

Nie będąc specjalistą, nie podejmując się więc krytyki fachowej, zdaję tu sprawę jenó z wrażenia przeciętnego czytelnika. Otóż, pomijając możliwość drobnych usterek historjograficznych, dzieło p. Grabca zdaje się być takim właśnie podręcznikowym streszczeniem, jakiego literaturze naszej było potrzeba. Budzi zaufanie do swego obiektywizmu, unika idealizowania stron ujemnych przeszłości, nie bawi się w ich potępienie, natomiast każdy fakt dziejowy tłumaczy, jako skutek pewnych zjawisk społecznych. Wogóle rozwój życia społecznego, a ściślej mówiąc, jego koleje (bo najrozmaitsze czynniki, nieraz wpływy zewnętrzne, rozwój ten w Polsce wstrzymywały, wykolejały, a nawet cofały) p. Grabiec wciąż ma na uwadze i wszystkie barwne epizody na jego tle maluje.

Wykład jest zwięzły, jasny, miejscami nie pozbawiony polotu, j. np. w opisie wyglądu Polski przed wiekami. W miarę jednak zbliżania się do czasów obecnych, wskutek gromadzenia coraz większej liczby szczegółów taktycznych, wykład ten staje się może nieco zbyt konsekwentny. Ostatni wreszcie rozdział, traktujący o sprawach niemal dzisiejszych, jest, o ile mi się zdaje, próbą w podręczniku historycznym nieco ryzykowną. Obrazowi brak już zupełnie perspektywy.

W każdym razie książkę powitać należy, jako nader cenny nabytek i życzyć jej jaknajszerszego rozpowszechnienia. W autorze odczuwamy człowieka prawdziwie kochającego i wbrew sentymentalizmowi własnym śmiało szukającego prawdy.

Z. Polkowski.

PRASA POLSKA.

— Naganka ze strony duchowieństwa katolickiego na pismo ludowe „Zaranie“ nie ustaje. „Dziennik Powszechny“ donosi:

„Warszawska Rzymsko-Katolicka Arcybiskupia Kurja Metropolitarna w sprawie czasopisma „Zaranie“ wydała osobną kursorję do duchowieństwa archidjece-

ezjalnego. Okólnik powyższy ogłasza, co następuje: „Władza Duchowna Archidiecezji Warszawskiej zakazuje wszystkim wiernym prenumerować, czytać i innym do czytania udzielać tygodnika „Zaranie“, jako pisma, które systematycznie podkopuje wiarę katolicką ludu i powagę Kościoła Świętego. Zakaz ten, mający na celu uchronić wiernych od grożącego niebezpieczeństwa, podaje do wiadomości i przestrzega, że kto by nadal tygodnik „Zaranie“ prenumerował, czytał i innym do czytania udzielał, ten popełni grzech, od którego zwykły spowiednik nie będzie mógł rozgrzeszyć i wskaże mu właściwą drogę, dokąd po rozgrzeszenie udać się powinien.

Okólnik niniejszy z rozporządzenia władzy duchownej ma być w niedzielę ogłoszony we wszystkich kościołach archidiecezji“.

Jest to, jak wiadomo, potwierdzenie przez Warszawską Kurję metropolitarną zakazu, rzuconego na „Zaranie“ przez biskupa kieleckiego.

W „Zaraniu“ ukaz ten wywołał echa protestu w postaci listów różnych właścicieli i grup właścicielskich. Między innymi mieszkańcy osady Włodawice tak piszą:

Bracia po plugu!

„Huknęło z ambony w kieleckiej diecezji, jak działa armatnie ongi pod Grunwaldem; tam przewodził wielki mistrz krzyżacki, tu walkę wypowiedział ks. biskup Łosiński. I walą te działa w lud polski, gnębiony już i tak nędzą i niedolą.

A lud tak ciemny, w jarzmie przygarbiony, w porcorze zdaje wszystko na Boga. I za co wydana ta walka zacięta pod sztandarem nienawiści względem braci swoich, z miotaniem ciężkich strzałów i bomb, i szrapneli — to jest klątwa, oszczerstw i wyzwisk? Za to, że ten tłum, „to potulne bydło“ chce, aby je za ludzi uznano, za ludzi wolnych, stworzonych na taki sam obraz i podobieństwo, a wolą obdarowanych. I trzęsą się ambony, a kto nie posłucha — temu zerwaną będzie łączność jego z Kościołem, z wiarą, ze Stwórcą samym. Do czego to doprowadzić może zaciekłość ludzka!

Bracia zaraniarze! Nasza brać duchowna w szale zapamiętania wypowiedziała nam wojnę — skupiamy się więc szczerze przy naszym sztandarze, na którym widnieje słowo „Zaranie“, zwiastun lepszej przyszłości ludu; i żadna moc ludzka ani piekielna nam go nie wyrwie. Będziemy ukoronowani żelzywem słowy: bezbożnik, mason, niedowiarek, odszczepieniec, żydowski Wojtek, ale będziemy szli zwycięsko po lepszą dolę dla narodu. A idąc przez życie z taką wiarą, kiedy rozstawać się już będziemy z tym światem, to na powitanie nam wyjdą: ks. Staszic, ks. Hugo Kollań, Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki, Konopnicka, a Chrystus nas powita słowami, które wyrzekł tu na ziemi: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie“.

Przeciwnicy nasi z pośród księży i panów! Uznajcie nas za ludzi równych sobie, przyznajcie nam takie jakie prawa moralne, jako i wasze; — ojcowie duchowni! złóżcie się braterstwem z tym ludem, z pośród którego wyszłiscie. Prześciancie frymarchyżę świętościami — tego tylko śmiało żądamy od was“.

Słusznie od siebie czyni komentarz redakcji „Zarania“, że „dość wsłuchać się w głosy, idące od wsi, aby wyzbyć się wszelkiej obawy, aby uwierzyć, że już niepodobiestwem jest, aby ciemnota, mając nawet tak możnych obrońców, zatryumfować miała“.

— W „Gazecie Kujawskiej“ p. Jerzy Kurnatowski porusza oklepany, a jednak wciąż żywotny temat stosunku polskich reprezentacji poselskich do stronnictw wolnościowych narodów uciskanych. Stare hasło: „za naszą i waszą wolność“ nie utraciło dotychczas swego znaczenia, a nawet zyskało wobec znanego wystąpienia socjalistów niemieckich w kwestji „ostmarkenzulagów“.

„Niestety niema jednak żadnej nadziei, aby ugodowo-endeckie Kola Polskie w Petersburgu i w Berlinie zrozumiały kiedykolwiek doniosłość narodową sojuszu z lewicą rosyjską i niemiecką.

Ostatecznie — prędzej zapewne, niż to się niejednemu wydaje — lewice te dojdą do władzy i zniosą krępujące nas ograniczenia narodowościowe.

Ale, jeżeli będziemy stale wybierali samych reakcjonistów, którzy wszystkimi swymi sympatjami lgną do reakcji rosyjskiej i niemieckiej i tylko wówczas, gdy są niemilosiernie przez nie kopnięci, zwracają się niechętnie i nieszczerze do lewicy tych narodów — to otrzymamy wolność nie dzięki własnym wysiłkom, lecz pomimo przeszkód, jakie pomiędzy innymi i my sami stawialiśmy jej.

Zresztą lewicowcy rosyjscy i niemieccy także nie są aniołami i niewątpliwie taka wolność, którą dadzą polakom wyłącznie dla samej abstrakcyjnej zasady sprawiedliwości, będzie się znacznie różniła od tej wolności, którąby dali żywym ludziom, towarzyszom broni i sprzymierzeńcom w walce z ich własnymi reakcjami.

Wobec tego uważam, że wybór choć kilku posłów postępowych polskich do czwartej Dumy byłby rzeczą niesłychanie korzystną dla nas pod wszelkimi względami. Musieliby to być — oczywiście — posłowie, niezwiązani zasadą solidarności Koła, gdyż, jak wiadomo, zasada ta knebluje usta najzdolniejszym ludziom i uniemożliwia wszelki szczerzy i jasny stosunek do lewicy rosyjskiej.

Jednak kto ma wybrać tych polskich lewicowców do Dumy? W polityce nie wystarcza teoretycznie mieć słuszną. Trzeba umieć stworzyć organizację, która by tej teoretycznej słusznosci dała jakikolwiek realny wyraz. Wówczas dopiero ma się istotną słusznosc. Otóż — jasną jest rzeczą — że organizację może utworzyć tylko sojusz (blok) przedwyborczy wszystkich żywiołów lewicowych. Jest chwila, w której trzeba przejść ponad wszelkimi różnicami programowemi stronnictw lewicy. Zresztą różnice te — w faktycznym wykonaniu — będą mogły zaznaczyć się w bardzo odległej dopiero przyszłości.

Tymczasem na terenie czwartej Dumy — przedstawiciele polskiej lewicy będą musieli iść ławą. Stanowisko ich nie tyle będzie przecież twórcze, ile obronne przed zakusami reakcji rosyjskiej. Zdaje mi się, że najłatwiej będzie porozumieć się zarówno stronnictwem lewicowym, jak i niezorganizowanym lewicowcom — na nazwiskach takich kandydatów, którzy są znani ze swoich postępowych przekonań, lecz nie noszą określonego stempla partyjnego.

O ile wiem, Warszawa daje przykład w tej mierze, stawiając kandydaturę od bloku lewicowego adwokata Patka. Takie kandydatury mają podwójnie dobrą stronę: przedewszystkiem żadne ze stronnictw lewicy nie może się czuć pokrzywdzonym na korzyść innego, następnie — bardzo być może, że w tej masie luzem chadających naszych postępowców drzemią bardzo cenne siły, które dotąd stroniły od lewicowych organizacji partyjnych, zrażone ich błędami. Zresztą żadne ze stronnictw lewicowych w tym wypadku nie nie straci, gdyż żadne o własnych wyłącznych siłach nie jest w stanie przeprowadzić swojego kandydata.

Słuszny w zasadzie projekt p. Kurnatowskiego ma tę jednak słabą stronę, że się nie rachuje z rzeczywistością i nie bierze pod uwagę walk postępowców warszawskich ze skrajną lewicą. Rozłam ten niewątpliwie utrudni, jeżeli nie uniemożliwi całkiem wspólną akcję wyborczą.

Korespondencje.

Mińsk.

Po dniach świątecznych kłopotów domowych i gościnnych przyjęć — po ślicznej zawiści nastąpił wreszcie dzień pogodny, słońcem rozłożony i rozbudził nieco ludzi do życia.

„Ognisko“ mimo, iż narzekało na publiczność, że nie umie i nie chce jego kulturalnych popierać zapoczątkowań, zdecydowało się na dwa znamienne czyny: pierwszy to zorganizowanie i otwarcie wystawy sztuk pięknych w salonach „Ogniska“, które nastąpi we czwartek 5 (18) kwietnia, — a drugi — to odczyt o Z. Krasińskim, do wygłoszenia którego zaprosiło znanego prelegenta adw. Wacława Makowskiego z Warszawy.

Wystawa zapowiada się b. ciekawie i zajmująco: nadesłano wiele dzieł z Warszawy wybitnych artystów, miejscowe zbiory również znajdują się na niej*).

Odczyt również ściągnie tłumy słuchaczy zarówno ze względu na temat jak i na prelegenta, który znakomicie mówi z estrady.

Jesteśmy szczerze uradowani tym objawem żywotności „Ogniska“ i oczekujemy pięknych rezultatów.

* * *

Wogóle jednak życie u nas nie poruszyło żywszych spraw „na dobie“, — mimo, że wybory do IV Dumy już się zbliżają, że Magistrat ogłosił już o formowaniu list wyborczych, nie wiemy nic dotąd o komitetach wyborczych, o naradach, porozumieniach lub kandydatach.

Rozumie się, że nacjonalistów naszych mińskich z „Minskoje Słowo“ nie bierzemy pod uwagę, ci już rozpoczęli taniec przedwyborczy z p. Bobrinskim w pierwszej parze, duchowieństwo pomaga im skwapliwie w tych zabiegach.

Ani wśród endeków miejscowych, ani wśród konserwatystów nie wyczuwamy dotąd żadnego poruszenia, albo w przededniu tych oznak jesteśmy, albo będą spali do ostatniej chwili.

O postępowej grupie również nic nie słyhać, gdyż nie skoncentrowała się ona, każdy tu idzie luzem, — a wartoby w ważnej chwili choćby agitacyjnie wyzyskać sposobność dla uświadomienia szerszego ogółu o dotychczasowej działalności naszych posłów i o życiu politycznym wogóle.

Może jeszcze to wszystko będzie, może zbudzi się energia żywa z wiosny technieniem ciepłyszem, — może ożyjemy politycznie, będziemy śledzili te objawy uważnie i dzielili się wiadomościami z naszymi czytelnikami.

Dotąd nic nie było.

Zdziwiło nas to, że wydawcy jednodniówki „Praca“ nie kolportowali jej w Mińsku: tu wszak spora liczba robotników, tu i inteligencji zawodowej radykalnie usposobionej trochę znaleźć można, taka więc ożywcza myśl, bodajby najbardziej krytyczna, podnieca do czynniejszego udziału w życiu społecznym i krystalizuje poglądy.

O wydawaniu miejscowych jednodniówek choćby na czas wyborów nikt nie pomyślał, a rzecz tę łatwo i bez wielkich trudów urzeczywistnićby można. Wzywamy do tej pracy ludzi już zasłużonych w przeszłości.

Leszek Czarny.

NA WIDNOKRĘGU.

Obok reform postępowych, z niezwykle wprowadzanych pośpiechem do prawodawstwa ostrożnej, konserwatywnej Anglii, weszła wreszcie na właściwą drogę i kwestja irlandzka. Od roku 1801 była ona ciemną plamą humanitarnej polityki Zjednoczonego Królestwa i wywoływała nietylko gwałtowne protesty mieszkańców „Zielonego Erin“, ale też służyła za argument kontynental-

*) Art. rzeźbiarz p. Jar. Tyszyński prosi nas o zaznaczenie, że on niema nic wspólnego z obecnie urządzaną wystawą.

nym ciemiężycielom ludów. Wskazywali oni Irlandję, jako dowód, że racja stanu może rozgrzeszać rządy zaborcze z obowiązku sprawiedliwości i że w pewnych wypadkach nie państwa są dla narodów, ale narody dla państw.

Takim właśnie narodem dla państwa byli irlandczycy. Nie wymagał tego jednak bynajmniej interes W. Brytanji—tej W. Brytanji, którą Izba gmin reprezentuje. Był to postulat zaledwie małej części ludności angielskiej, mianowicie właścicieli wielkich majątków ziemskich, którzy, podzieliwszy cały niemal obszar Zielonej Wyspy na olbrzymie latyfundja, wywłaszczyli włościan miejscowych i obrócili ich w płacących daniny dzierżawców. Tym to właśnie panom, z dawien dawna przywykłym do wystawnego życia na koszt rolników irlandzkich, nie dogadzała myśl nadania samorządu wyspie. Widzieli w nim niebezpieczeństwo dla swych kieszeni i—jak to zwykle nietylko w Anglii bywa—interes własny maskowali interesem ojczyzny, którą niemal utożsamiali z dobrobytem lordów.

Dlatego to właśnie główną przeciwniczką swobód irlandzkich była stale Izba Wyższa, gdy natomiast Niższa już w r. 1886 gotowała się pójść za Gladstonem i uchwalić t. zw. „Home-Rule“. Pod naciskiem lordów i torysów padł wówczas gabinet wielkiego starca, lecz zarządzane wybory dały mu znów zwycięstwo. W r. 1893 „Grand Old Man“ zdecydował się projekt autonomji Irlandji wnieść do parlamentu. Zapadła pomyślna uchwała Izby gmin, ale ustawę Izba lordów odrzuciła olbrzymią większością głosów. Gladstone ustąpił, a ideję jego przejął Rosebery.

Lecz komplikacje, które pojawiły się wówczas w polityce zagranicznej, dały pole konserwatywstom do rozwinięcia agitacji w duchu imperjalistycznym, posiłkującej się elementami szowinizmu narodowego. Na widowni pojawił się głośny Chamberlain, który rozbił obóz liberalny i jego część przeciągnął na stronę zachowawców, tworząc z połączonych sił stronnictwo t. zw. „unjonistów“. Wojna południowo-afrykańska, hasłom ich sprzyjająca dała irlandczykom sposobność do kilkakrotnego manifestowania ich nieprzejednanego stanowiska. Ferment, przejawiający się na wyspie tak dalece zaniepokoił rząd, że gabinet Salisbury'ego znalazł się w konieczności poczynienia pewnych ustępstw. Wprowadzone wówczas reformy ekonomiczne wpłynęły na uspokojenie umysłów.

Przez cały czas panowania unjonistów, t. j. od r. 1895 do 1905 sprawa irlandzka pozostawała jakby w zawieszeniu. Gdy atoli gorączka nacjonalistyczno-imperjalistyczna minęła i liberałowie powrócili do władzy, powołani do niej olbrzymią większością głosów, kwestja ta stanęła znów na porządku dziennym,

Naród domagał się reform, szerokich reform społecznych, z którymi wcale nie kolidowała poprawa doli „dzierżawców“ irlandzkich. Campbell-Bannerman jakkolwiek nie śpieszył z wskrzeszeniem tradycji Gladstone'a, starannie unikał drażnienia irlandczyków i w zasadzie nie był przeciwny daniu im autonomji. Jeszcze wyraźniejszy był pod tym względem następca jego Asquith, który wszelako rozumiał, że regulacja przyszłych stosunków angielsko-irlandzkich poprzedzona być musi przez zreformowanie archaicznego ustroju W. Brytanji, zbyt wielkie wpływy przynajęcego parom dziedzicznym. Ustrój ten nietylko na losach Irlandji odbijał się fatalnie; hamował on ewo-

lucję socjalną samej Anglii i to właśnie uwzględnił przedewszystkiem program Asquitha.

Rozpoczęła się walka z lordami. Gdy wreszcie nad Izbą wyższą liberałowie odnieśli zwycięstwo, mocno uszczuplając jej prerogatywy, przysłała kolej na Zieloną Wyspę.

D. 29 z. m. prezes ministrów wniósł do Izby gmin „Home-Rule-Bill“. We wniosku tym rząd nie staje bynajmniej na dawnym stanowisku Gladstone'a — stanowisku, że tak powiem, filantropijnem; nie opiera się na sentymentach, ani doktrynach humanitarnych. Asquith występuje tu jako anglik i działa dla wygody własnego państwa i własnego narodu, któremu w olbrzymiej większości nic a nic nie zależy na gnębieniu irlandczyków. Projekt — powiada premier — jest pierwszym krokiem do wyzwolenia parlamentu państwowego od konieczności zajmowania się czysto miejscowymi sprawami rozmaitych części Zjednoczonego Królestwa i oddania tych specjalnym przedstawicielstwom.

Takie same ciała otrzymać mają, prócz Irlandji, Szkocja, Walja i Anglja właściwa. W zasadzie więc będą to instytucje podobne do sejmów krajowych Austrii. Kompetencja ich wszakże sięgnie znacznie dalej i samodzielność będzie prawdopodobnie dużo szersza.

Proponowany na początek parlament irlandzki składać się ma z senatu i Izby gmin. Do tej ostatniej wejdzie 164 deputowanych przy 40 członkach senatu. Pierwsi członkowie senatu mają być mianowani na ograniczoną liczbę lat. Z biegiem czasu miejsca poczną zajmować delegaci egzekutywy irlandzkiej. Na jej czele stanie lord-namiestnik, posiadający prawo *veto* wobec uchwał parlamentu, a względnie prawo ich odraczania. W razie różnicy zdań między izbami, będą one odbywały wspólne posiedzenia i głosowały razem.

Parlament irlandzki decydować ma wyłącznie w kwestjach lokalnych. Na politykę państwową irlandczycy oddziaływać będą za pośrednictwem deputowanych swych w Westminsterpalace, których liczba ma być zredukowana do 42. Dotychczas] korzystali irlandczycy z pewnego przywileju, który dawał im nieproporcjonalną do liczby ludności ilość przedstawicieli w parlamencie. Przywilej ten powstał wskutek okoliczności historycznych i — jako przeżytek — kilkakrotnie wywoływał protesty. Chciał uczynić nań zamach w swoim czasie Salisbury, ale irlandczycy wprost wówczas zagrozili rewolucją.

Dziś — wobec autonomji — redukcja ta nie wywoła prawdopodobnie opozycji, jakkolwiek sam projekt budzi na wyspie żywą krytykę stronnictwa lewicy. Krytyka ta zestawia wniosek Asquitha z planami Gladstone'a i wykazuje wyższość tych ostatnich. Pamiętać jednak trzeba, że Gladstone występował wówczas, gdy główni gnębiciele Irlandji nie byli jeszcze obezwładnieni.

Dziś będą oni również stawiali przeszkody. Izba lordów projekt niewątpliwie odrzuci. Pogrzebać go jednak nie ma już możliwości. Zdolna jest tylko ustawę na dwa lata odroczyć. Jeżeli bowiem w ciągu tego okresu Izba gmin powtórnie projekt uchwali, wchodzi on w życie bez względu na protesty parów. Takie jest dziś prawo.

Idzie więc tylko o to, czy gabinet liberalny utrzyma się jeszcze dwa lata u władzy.

Głosy rosyjskie.

Z niedalekiej przeszłości.

W „Wiestniku Jewropy“ ukazała się interesująca rozmowa dziennikarza rosyjsko-amerykańskiego, Twerskiego ze zmarłym prezesem ministrów. Stołypinem, która odbyła się wówczas, gdy Stołypin był u szczytu swej potęgi, gdy stosował on art. 87 zupełnie nieograniczenie, gdy wyniośle oświadczył z mównicy dumskiej: „nie zastraszyć“.

Nawiązując do tych wynurzeń zmarłego premiera „Riecz“ pisze:

„Stołypin — to faworyt, jak piłką gra on losami wielkiego państwa, jednym poruszeniem pióra dokonywa największych przewrotów, a sam jest igraszką innych wpływów i prądów. Do jakiego stopnia wpływy te były nieograniczone, widać naprz. z tego, że w lutym Stołypin zapewniał rozmawiającego z nim dziennikarza, że conajmniej w ciągu roku nie nastąpi zmiana ordynacji, co wogóle uważa za niedopuszczalne, jako „rewolucję z góry“. A w trzy miesiące potem podpisał akt z dn. 3 czerwca. Drugi niemniej jaskrawy przykład to ten, że, według Stołypina, pogromy są też wynikiem tych wyższych prądów i że stanowią one niedostępny dla gabinetu „status in statu“. Jak znacznie musi upaść państwowość, aby prezes ministrów w rozmowie z dziennikarzami, która ma być ogłoszona, pozwalał sobie na przyznanie tego faktu, że pogromy, zabójstwa i rabunki organizowane lub tolerowane są przez samą władzę. Lecz potem wszystkim jeszcze znamiennejszym staje niepoohamowane oburzenie Mieńszykowa przeciw Kokowcowowi za to, że nie pozwolił on na urządzenie pogromu w Kijowie po zabójstwie Stołypina“.

„Ale p. Stołypin uważał pogromy „tylko, za jedną i stosunkowo nieznaczoną stroną całego naszego życia“. I bodaj miał on słuszość. W dalszej bowiem rozmowie wyjaśnił on, że cała polityka wewnętrzna nawskroś przeniknięta jest bezprawiem i gwałtem. Znał on dobrze wartość osławionych wyjaśnień senatu w sprawie ordynacji wyborczej, zaprzeczając jedynie, jakoby wydane zostały one pod bezpośrednią presją. Oświadczył on następnie, że administracja miejscowa nie jest warta. Wreszcie Stołypin dobrze wiedział, jaką powagę ma władza w oczach społeczeństwa. Na zapytanie dziennikarza, dlaczego rząd nie ogłosi w pewnej sprawie wyjaśnienia, Stołypin otwarcie oświadczył, że w żadnym razie nikt nie uwierzy.

„To wszystko sprawy przeszłości! — mówi w końcu „Riecz“. Lecz, gdy obecnie bohaterem stał się Rasputin, gdy Chwostowowie i Muratowowie tak przesadzają w swej gorliwości, gdy Senat rządzący nie przestaje sypać, jak z rogu obfitości, najdziwniejszych wyjaśnień, gdy sądy skazują na zesłanie za artykuł, w którym przedtem nie widziano cech przestępstwa, gdy wreszcie inscenuje się sprawę Bejlisa, a prawica, korzystając z niej, prowadzi propagandę pogromową, te śmiałe wynurzenia Stołypina otrzymują szczególne znaczenie. Wprawdzie nie przynoszą one nic nowego. Tło naszej państwowości oddawna jest wszystkim znane. Lecz tak pełne autorytetu, autentyczne potwierdzenie bez kwestji rzuca jaskrawe światło na przeżywaną chwilę. Jeżeli Stołypin w okresie swej zewnętrznej wszechpotęgi mówił o zupełnej swej bezsilności i nie mógł uważać

się za odpowiedzialnego za to, co się stanie jutro, to cóż się dzieje obecnie, jak obecnie trzeba lawirować i gdzie są granice niespodziewanych możliwości? Jaka szkoda, że Biuro Informacyjne nie może dać w tej sprawie żadnych wyjaśnień, nawet gdybyśmy zgodzili się w nie uwierzyć“.

KRONIKA.

= Zjazd socjalistów polskich.

W czasie świąt wielkanocnych odbyć się miał zjazd socjalistów polskich w Poznaniu. Prezydent poljeji zażądał, aby obrady prowadzone były w języku niemieckim. Ponieważ jednak socjaliści chcieli przemawiać po polsku, udali się do oddalonych o 6 kilometrów od Poznania Naramowie, wsi gospodarskiej, w której ludność polska wynosi 60 procent. Tam też odbyły się narady. W zjeździe brali udział, podług sprawozdania berlińskiego „Vorwärtsu“, członkowie zarządu Polskiej Partji Socjalistycznej, członkowie komisji prasowej, komisji kontrolującej, oraz 22 delegatów z W. Ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich, Śląska, Berlina, Bremy, Hamburga i Wilhelmsburga.

Najważniejszym punktem porządku obrad był referat p. Biniszkiewicza o ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego ze stanowiska socjalistycznego. Referent mówił o postępach wyborczych w prowincjach polskich; omawiając wybory w całych Niemczech, pochwalił kompromis z wolnomyślnymi w wyborach ścisłszych, który przyczynił się do złamania dawniejszej większości parlamentarnej.

Następnie p. Adamek z Reklinghausen wygłosił referat o polskim stronnictwie socjalistycznym i związkach zawodowych. Po dłuższej dyskusji przyjęto rezolucję, w której wyrażono zapewnienie, że polskie stronnictwo socjalistyczne uważa centralne związki za odpowiedzialną organizację, która popiera interesy robotnicze bez względu na narodowość.

= Upamiętnienie rocznicy.

Wyższe sfery petersburskie zajęte są podobno opracowywaniem projektu upamiętnienia trzechsetlecia panowania Domu Romanowów. Zamierzono dotychczas jubileusz ten uczcić w sposób następujący: przez nadanie szlachectwa całemu szeregowi osób, które okazały zasługi państwu w rozmaitych dziedzinach, przez ogłoszenie ulg płatniczych dla włościan rosyjskich i przez częściową amnestję.

= Dogorywanie III-ej Dumy.

„Birż. Wied.“ donoszą, że na jednym z ostatnich posiedzeń rady ministrów pod przewodnictwem Kokowcewa rozważano kwestję dalszej inicjatywy prawodawczej rządu w stosunku do trzeciej Dumy państwowej. Rada ministrów uchwaliła nie wnosić już więcej projektów rządowych do Dumy i zająć się przygotowaniem materiałów do prac ustawodawczych czwartej Dumy państwowej. Podobno między rządem a prezesem Dumy państwowej nastąpiło już porozumienie, na którego podstawie prezydent Dumy wniosie wkrótce na porządek dzienny szereg drobnych projektów, których uchwalenie potrzebne jest rządowi.

= Wileński związek nacjonalistów rosyjskich.

We czwartek w zeszłym tygodniu w klubie rosyjskim odbyło się ogólne drugie zgromadzenie członków wileńskiego związku nacjonalistów rosyjskich, na którym byli obecni poseł do Dumy od gub. grodzieńskiej, Tyczynin, i redaktor wychodzącego w Petersburgu tygodnika „Okrajny Rossii“, Bywalkiewicz.

Poseł Tyczynin w mowie swojej pokładał wielkie nadzieje na związek wileński, który jego zdaniem przede wszystkim powinien dostarczać Dumie materiałów o stosunkach miejscowych wogóle. Co zaś do interpelacji Koła Polskiego w sprawie postępowania inspektora szkół ludowych, Nieczajewa, to związek powinien danymi faktycznymi udowodnić, że polacy nadużywają manifestu o tolerancji religijnej i uniemożliwiają wprowadzenie wykładów religijnych dla białorusinów w ich języku ojczystym, że język polski jest narzędziem polonizacji i wynaradawiania ludności rosyjskiej.

Zdaniem Tyczynina, związek musi dążyć starań, ażeby skasować praktykowany na Białejrusi zwyczaj określania narodowości dzieci, uczących się w szkołach początkowych, gdyż składane przez ich rodziców na piśmie oświadczenia zwykle są dyktowane przez księży polaków.

P. Matzon wskazał na konieczność wprowadzenia dla białorusinów nabożeństw dodatkowych w języku białoruskim, na co zgodził się już papież, a co usilnie zwalczają księża polacy.

W końcu odbyły się wybory. Na prezesa powołano Kowaluka, właściciela i przełożonego progimnazjum, a na wiceprezesa Matzona, urzędnika zarządu kolei Poleskiej, ongi prezesa zbankrutowanego „Związku kresowego“.

Do zarządu zostali wybrani: Pigulewski (inspektor szkół ludowych), Andrejew. duchowny Modestow, duchowny Okołowicz, Wrucewicz (nauczyciel historii w szkołach średnich), Dowgiałło (dyrektor kancelarii kuratora okręgu naukowego), Ławrow (dyrektor żeńskiego instytutu cesarskiej Marji), Soloniewicz (redaktor „Siew.-Zap. Żizni“), Woronienko, Makarewica, Awdiej i Mejer (inżynier przy zarządzie kolei Poleskich).

= Henryk Brisson.

D. 1 (14) kwietnia zmarł w Paryżu znakomity mąż stanu, będący jedną z najpopularniejszych postaci Francji społecznej Henryk Brisson. Eugenjusz Henryk Brisson urodził się w Bourges d. 31 lipca 1835 r. Po ukończeniu szkoły prawnej w Paryżu, oddał się wnet działalności publicznej. Od samego początku swej kariery, a więc jeszcze za drugiego cesarstwa, Brisson należał do opozycji skrajnej i już w roku 1856 wstąpił do jednej z łódz wolnomularskich. Właściwa działalność polityczna Brissona rozpoczyna się z ogłoszeniem trzeciej rzeczypospolitej. Wybory z d. 8 lutego 1871 r. uczyniły go posłem Zgromadzenia Narodowego. Zasiadł na skrajnej lewicy i w imieniu swego stronnictwa żądał amnestji dla wszystkich przestępców politycznych. W Izbie deputowanych, po wejściu w życie konstytucji 1875 r. Brisson należał do stronnictwa „Union républicaine“ i już w r. 1879 obrany został na wiceprezydenta. Po trzech latach zasiadł na fotelu przyzjadalnym osieroconym przez Gambettę, i z małemi przerwami godność tę piastował do samej śmierci.

Szczery republikanin i demokrat służył wiernie idejom postępowym i był jednym z filarów demokratycznej rzeczypospolitej, która—wbrew intrygom i atakom—potężniała nieustannie i opierała się wszystkim napaściom.

= Ile jest żydów na świecie?

Według urzędowej statystyki „Jewish Year Book“ (Rocznik żydowski) ilość żydów na całym świecie wynosi 11,081.000. Z tej cyfry przypada na Europę 8,748,000, na Amerykę 1,556,000, Afrykę 354,000, Azję 242,000, Australję 17,000. Na poszczególne kraje europejskie przypada: na Rosję 5,100,000, na Austro-Węgry 2,100,000, Niemcy 600,000, kraje bałkańskie 400,000, Belgję i Holandję 105,000, Anglję 90,000, Francję 100,000, Włochy 40,000, Królestwo Polskie liczy 1,800,000 żydów, z tego sama Warszawa ma przeszło 300,000. Warszawa zajmuje tedy pod względem ilości mieszkańców żydowskich drugie miejsce po Nowym Jorku, liczącym 800,000 żydów. W innych miastach przedstawia się ludność żydowska następująco: Wiedeń 180,000, Peszt 160,000, Berlin 100,000, Londyn 80,000, Paryż 50,000, Jerozolima 40,000, Kraków 30,000.

Z krajów bałkańskich przypada na Serbję 5,729, na Bułgarję 33,661 żydów.

W Tunisie mieszka 62,000 żydów, rozproszonych po 20 miastach i 12 wsiach; pięć szóstych części przypada na 5 wielkich miast: Tunis 40,000, Bizerta 1,200, Djerba 4,000, Susa

3,500, Szaz 3,200. Są to głównie drobni kupcy, rzemieślnicy i robotnicy.

W 1900 roku było w Galicji 811,183 żydów, czyli o 42,338 więcej, niżeli w 1890 r. Przyrost wynosi tedy w owem 10 leciu 5,5 proc.

Książki nadesłane do Redakcji.

Ludwik Romocki. *Hakata.* Powieść. Kijów. Leon Idzikowski. 1912.

Adam hr. Rzewuski. *Jego Żartoczna Mość—Burak.* (Szkice ukraińsko-kontraktowe). Kijów. Leon Idzikowski. 1912.

Helena Mniszek. *Zaszumiły pióra.* Wyd. 2-gie. Kijów. L. Idzikowski. 1912.

St. J. Wrzos. *Grzech miłości?* Powieść dzisiejsza. Kijów. L. Idzikowski. 1912.

Odpowiedzi Redakcji.

P. H. Kardaszewskiej. Niestety, nie możemy uczynić zadość prośbie pani. Wiersz jest słaby. Jako śpiewaczka, mamy nadzieję, odniesie Pani zapewne większy sukces.

Treść numeru.

Na własną rękę — L. Abramowicza.

Krok wstecz — J. Sorokowicza.

Listy z Warszawy — P. M.

Jubileusze a zasługi — T. Bezimiennego.

Małpa i zwierciadło (Bajka) — B. Hertza.

Dwa dokumenty.

Nowele Weysenhoffa — J. Lorentowicza.

Sumienny podręcznik — Z. Polkowskiego.

Listy do redakcji, Prasa polska, Korespondencje,

Na widnokręgu.

Odcinek: Ostatnie Natchnienie — J. Żarskiego.

CZYTELNIA A. Żukowskiej

Wilno, Skwer Ś-to Jerski 3, m. 5.

Otwarta jest codziennie od godziny 11-ej do 7-ej prócz niedziel i świąt.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“
tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem.

JAJA!

do wylęgania. Od konchinchinijskich 5 rb., Brama 8 rb. 50 k Langechamp 3 r. 50 k., Pilmonthrock 3 rb. 50 k., Viandote 3 rub., Orphington 4 rub., Krewker 5 rb., Gougane 3 rb. 50 k., Hambursk. 3 rb., Andaluz. 3 r. 50 k., Włosk. 3 rb., Minorek 3 rb., bronzowych indyczek 7 rb., kaczek pekińskich i rouańskich 5 rb., gęsi Emdeńskich 12 rub. za tuzin. Gwarancja zupełna.

Katalog ilustrowany za zaliczeniem poczt. Cena 45 k.

Hodowla ptactwa E. W. Baggowuta. Kegel, gub. Estlandzka.

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.

POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.

Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski i J. Marciniak

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

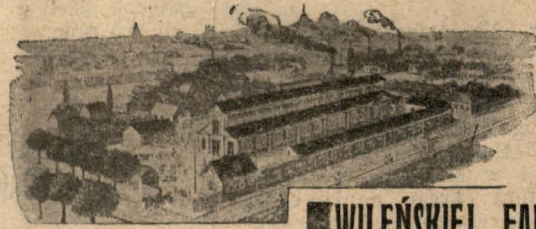
Przyjmujemy zamówienia z własnych i powierzonych materiałów. Wykonanie staranne i akuradne.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.



T-WO „WILJA”

WILEŃSKIEJ FABRYKI MASZYN ROLNICZYCH

Wilno, Połtawska 55. Filja w Kownie, Kurowska 5.

poleca p.p. rolnikom różne maszyny i narzędzia rolnicze: plugi, jedno i wieloskibowe krajowych i zagranicznych fabryk, brony sprężynowe, talerzowe i inne, kultywatory, siewniki rządowe i talerzowe, grabie, kosiarki, żniwiarki, WIRÓWKI „ALFA-LAVAL” i „PERFEKT” oraz inne przyrządy młeczarstwa, nasiona traw pastewnych, nawozy sztuczne i t. d.

Fabryka przyjmuje do reperacji różne maszyny rolnicze oraz wirówki „ALFA-LAVAL”.



POZITYW

Radykalny środek
od łupieru.

Przeciwno
wypadaniu włosów.

Wzmacniają
ich prost

K. BERMANS I S-ka Moskwa.

Tanie wygodne mieszkania — wille

Do wynajęcia w suchej zdrowej miejscowości naprzeciwko lasu i ogrodu przytulku Olgińskiego przy ul. Wierzbowej na Soltańszkach (Zwierzyńiec) w nowo-wybudowanych, trwałych i wygodnych dwóch domach. Niedaleko od środka miasta. Rzeka w pobliżu. Są mieszkania złożone z 1—5 pokoi z balkonami, wychodzącymi na las i ogród. Stajnia, szopy, sutereny, studnia — wszystkie wygody. Wiadomość na miejscu u majstra Okulewicza.

Letnisko i jednocześnie mieszkanie na zimę!

Pragnący urządzać ogrody warzywne mogą korzystać darmo z gruntów położonych obok.

MIESZKANIA — WILLE

5 pokoi, kuchnia e.t.c. 2 pokoje kuchnia e.t.c. do wynajęcia zaraz. Wiadomość w kantorze ul. Gedyminowska № 32. Tamże do sprzedania dom-Willa na dogod. warunkach.

A. Rydlewski

ZEGARMISTRZ

Wilno,

Wileńska, róg

Gubernatorskiej.

Księgarnie W. Makowskiego

WILNO. — MIŃSK.

Poleca własne wydawnictwa:

BAJARZ POLSKI, Baśnie, powieści i gawędy ludowe opowiedział A. Gliński	1.—
GODZINA POGARDY, Dramat Woli, Mickiewicz, Słowacki i Gawroński nap. W. Makowski	1.—
POJATA CÓRKA LIZDEJKI, E. Bernatowicz (streszczenie)	—,20
PLAN WILNA ułożył F. Walicki	—,50
ZARYS DZIEJÓW LITEWSKICH A. Skirmuntówna	—,70
KONARSKI SZYMON Życie i Czyny podl. niewyd. dokumentów opracował D-r Wł. Zahorski	—,25

Księgarnie polecają wielki wybór książek we wszystkich językach.